Jednota

1—2
1963

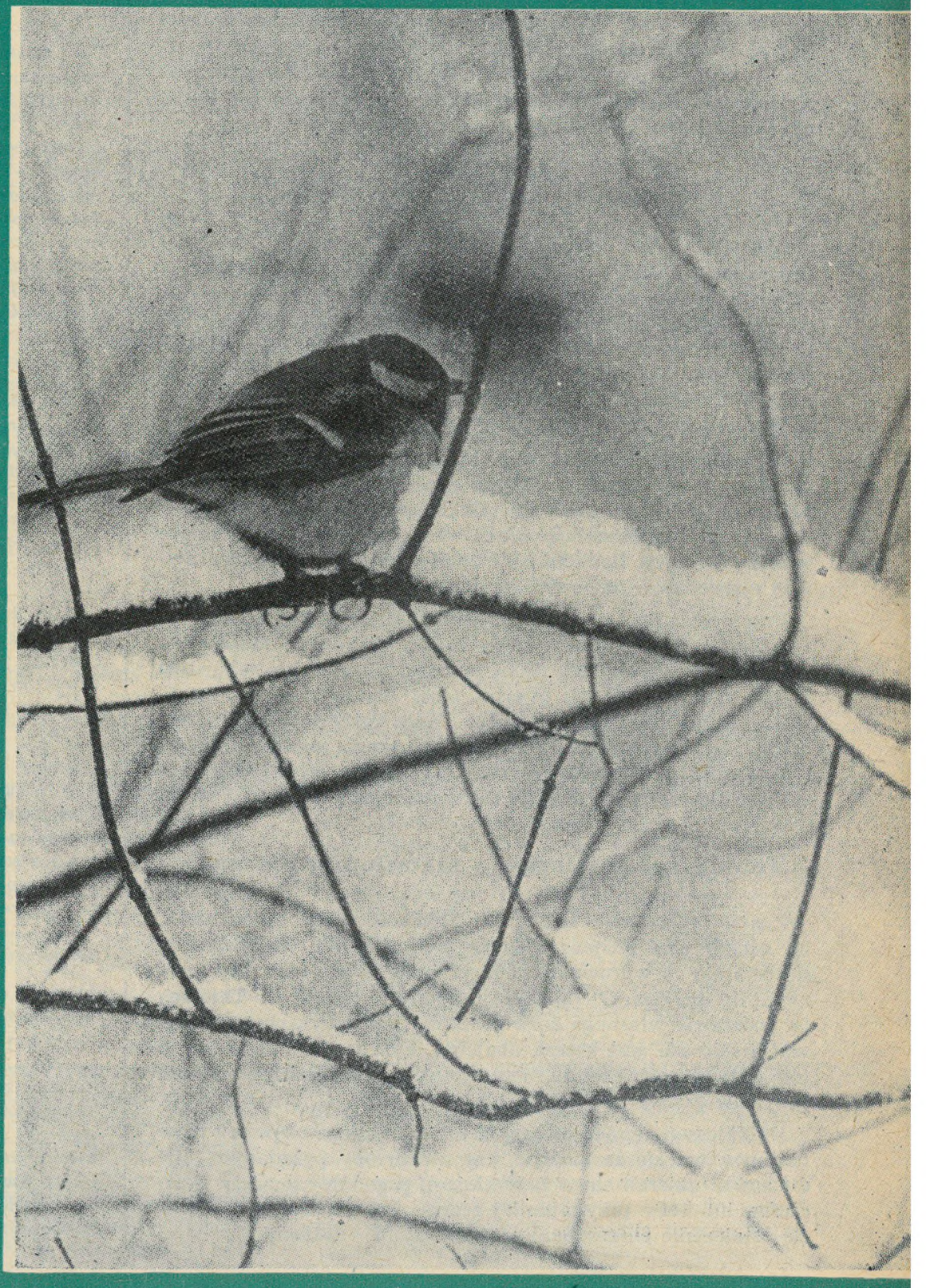

W NUMERZE m.in.:

NASZA MOC i SIŁA

STOSUNEK RZYMIAN DO CHRZEŚCIJAN

100 LAT „ZWIASTUNA EWANGELICZNEGO"

W SETNĄ ROCZNICĘ POWSTANIA STYCZNIOWEGO

PRZECIW BOGOM

Z WYNIKÓW OSTATNICH BADAŃ KOMENIOLOGICZNYCH

UKRYTA ŚWIATŁOŚĆ OBJAWIONA

STULECIE SZKOŁY GŁÓWNEJ

MŁODA JEDNOTA

PISMO RELIGIJNO - SPOŁECZNE

Tydzień Modlitwy o jedność chrześcijaństwa

Tegoroczny Tydzień Modlitwy o jedność chrześcijaństwa niekatoliccy chrześcijanie obchodzić będą w dniach od 18 do 25 stycznia pod hasłem: „On jest naszym pokojem". Światowa Rada Kościołów wydała specjalną broszurę pod tym tytułem. Została ona przetłumaczona na język polski i będzie dostępna dla uczestników tegorocznych nabożeństw. Kościół Katolicki obchodzi w tym samym czasie swoją „Oktawę Modlitw" o jedność.

Niektóre Kościoły krajowe obchodzą swój Tydzień Modlitwy w tygodniu przed Zesłaniem Ducha Św. Ważną jest wprawdzie rzeczą obchodzenie Tygodnia Modlitw jednocześnie we wszystkich Kościołach chrześcijańskich, to jednak pora roku — zima — wpływa ujemnie na frekwencję i należałoby poważnie się zastanowić, czy okres przed Zielonymi Świątkami nie byłby odpowiedniejszy i to nie tylko ze względu na porę roku.

Ewangelicy a proces w Liège

Codzienna prasa całego świata śledziła z zapartym oddechem proces matki, która za wiedzą męża i przy pomocy lekarza zgładziła własne dziecko upośledzone fizycznie na skutek przyjmowania przez nią, w czasie ciąży szkodliwego lekarstwa „Contergan". Ława przysięgłych orzekła, że oskarżeni są niewinni. Kary, nawet symbolicznej, nie wymierzono. Licznie zgromadzona w sali sądowej publiczność zgotowała uwolnionym od kary żywiołową owację.

Wielu ludzi na świecie odnosiło się do oskarżonych z wielką sympatią i odetchnęło z ulgą na wieść o uwolnieniu od kary. Lecz gdy pierwsze wrażenie minęło, zaczęto się zastanawiać: czy tak być powinno? Sumienie chrześcijańskie raczej odpowiada przecząco. Bądź co bądź zabite zostało dziecko, wprawdzie upośledzone fizycznie, ale dziecko.

Przy ocenie tego wyroku przypominają się czasy narodowego socjalizmu w Niemczech, kiedy to bez skrupułów mordowało się „niegodnych życia". Taka postawa aprobująca zabójstwo ciężko chorego dziecka, otwiera tamy dla ludzkiej samowoli. „Nie zabijaj" jest nienaruszalne. Koła protestanckie stwierdzają, „że ciężary przez Boga nałożone trzeba znosić w miłości i przetapiać w błogosławieństwo". Nie wolno człowiekowi pozbywać się takich ciężarów przez zabijanie.

Teolog reformowany o szatach liturgicznych

Znany holenderski teolog Dr Thiessen, który kilkadziesiąt lat działał jako misjonarz na wyspach Oceanii, wypowiedział się ostatnio za wprowadzeniem barwniejszych szat liturgicznych dla misjonarzy. Do takiego wniosku doszedł Dr Thiessen na podstawie własnego doświadczenia. Dla tubylców barwność szat wcale nie jest rzeczą obojętną. Czarne ubranie i czarne togi dają chrześcijaństwu piętno smutku i ponurości, gdyż i dla tubylców czarny kolor jest kolorem żałoby.

Dr Thiessen zwraca uwagę, że chrześcijanie europejscy również powinni się zastanowić, czy nie byłoby pożądanym, aby duchowni ubierali się w barwniejsze, pogodniejsze szaty liturgiczne lub żeby przynajmniej czarne togi zamienili na białe. Bo ostatecznie chrześcijanie są radosnymi ludźmi".

W kilku WIERSZACH

— Dnia 8 grudnia zakończyła się pierwsza sesja Soboru Watykańskiego. Prace wznowione będą dopiero we wrześniu przyszłego roku. W pracach Komisji przerwy nie będzie.

*

— Doniesienia prasy podają, że obserwatorzy niekatoliccy, w szczególności protestanci, nie byli zachwyceni przepychem uroczystości inauguracyjnej soboru. Cały ten, protestantom obcy splendor, przypominał im słowa Lutra: Regnum papae. Jeden z obserwatorów miał oświadczyć, że zniósł jako tako te uroczystości jedynie dlatego, że miał przed sobą skupioną w modlitwie twarz Jana XXIII.

*

— Na konferencji prasowej w Rzymie prof. Cullmann — obserwator ewangelicki na Soborze — oświadczył, że największą trudnością na drodze do jedności chrześcijan jest to, że pojęcie jedności u katolików oznacza zupełnie co innego niż u niekatolików.

*

— W dniach od 26 lutego do 5 marca odbędzie się w Rangoonie (Burma) plenum Wschodnioazjatyckiej Chrześcijańskiej Konferencji, w której weźmie udział 175 uczestników.

*

— W związku ze śmiercią b. królowej holenderskiej Wilhelminy, sekretarz generalny Dr. A. Visser't Hooft przesłał na ręce królowej Julianny depeszę kondolencyjną, w której podkreślił żywe i szczere zainteresowanie zmarłej dla sprawy zjednoczenia chrześcijan.

*

— Kierownictwo Zjednoczonego Kościoła Luterańskiego w Niemczech na posiedzeniu odbytym w Hannoverze pod przewodnictwem biskupa Liljego, idąc po linii zimnowojennej polityki rządu zachodnioniemieckiego, skrytykowało enuncjację Światowej Rady Kościołów w sprawie Kuby, potępiającą poczynania Stanów Zjednoczonych.

Jednota
MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY
POŚWIĘCONY SPRAWOM EWANGELICYZMU POLSKIEGO I EKUMENII

ROK VII (XXI) Nr 1—2

Warszawa styczeń — luty 1963 r.

Ks. JAN NIEWIECZERZAŁ

NASZA MOC I SIŁA

Na ostatek, bracia moi, wzmacniajcie się w Panu i w sile mocy Jego.

Efez. 6, 10

Każdy człowiek, gdy staje do jakiejś pracy czy też poważnego dzieła, oblicza zwykle swoje siły i możliwości i pyta, czy wystarczą one do realizacji zamierzonego przedsięwzięcia. Budowniczy, budując dom kreśli plany, ustala budulec i oblicza wytrzymałość obranego materiału. Stać się bowiem może, że przy najpiękniejszych planach i najlepszym budulcu, jeden błąd w obliczeniach spowodować może zawalenie się gotowej już budowli i wielkie szkody materialne. Na tę sprawę zwrócił uwagę sam Jezus w znanej przypowieści o domu na skale i na piasku (Mat. 7, 24—27).

Żyjemy w erze wielkiego rozwoju nauki i wynalazków. Nie tak dawno jeszcze my, ludzie średniego pokolenia, byliśmy urzeczeni wielkimi możliwościami, jakie roztaczały się przed nami dzięki wykorzystaniu pary i elektryczności. Niektórzy też nazywali pierwszą połowę dwudziestego wieku wiekiem pary i elektryczności. Komu śniło się przed kilkudziesięciu laty, że w szóstym dziesiątku dziewiętnastego wieku siła atomu zostanie wprzęgnięta nie tylko w dzieło zniszczenia, lecz służyć będzie również dobru ludzkości? Kto myślał poważnie o lotach kosmicznych, kto spodziewał się urzeczywistnienia powieściowych fantazji Juliusza Verne'a? Dziś wiemy, że rzeczywistość prześcignęła w wielu przypadkach fantazję, zdajemy sobie sprawę z tego, że kiedyś może nie starczyć fantazji w konfrontacji z rzeczywistością. Wszystko to, dzieje się w sferze rozumu, w dziedzinie nauki, w dziele poznawania natury, w opanowywaniu kosmosu. Pięknie też mówi o tym Apostoł: „Czemże jest człowiek, że pamiętasz o nim, albo syn człowieczy, że go nawiedzasz? Na małą chwilę mniejszym uczyniwszy go od aniołów, chwałą i czcią ukoronowałeś go i postanowiłeś go nad dziełami rąk swoich. Wszystkoś poddał pod nogi jego". (Hebr. 2, 6—8a).

Będąc uczestnikami a zarazem współtwórcami tej nowej epoki gigantycznych osiągnięć, docierając do zakrytych dotąd przed ludzkim wzrokiem tajników natury, zadajemy sobie mimowoli pytanie, być może dziwne, ale jakże zrozumiałe: pytanie o szczęściu, pytanie o pokoju serca i duszy człowieka. Już starożytni zadawali je sobie, szukając definicji i określenia czym jest szczęście ludzkie i w czym się ma przejawiać. Na ten sam temat filozofowie napisali wiele ksiąg i rozpraw, lecz żaden z nich nie wynalazł recepty na jego osiągnięcie.

Prawdą jest jedynie to, że wraz ze wzrostem naszych umiejętności, ze wzrostem osiągnięć i wartości materialnych, wzrasta obawa, wzrósł strach przed niewłaściwym wykorzystaniem owych osiągnięć, które stać się mogą w rękach szaleńców początkiem końca naszego życia. I tak strach i obawa zmieszane z nadzieją i ufnością, lęk przed dniem jutrzejszym wraz z wiarą w zwycięstwo rozsądku, stają się chlebem powszednim współczesnego życia. Trudno podzielić ludzi na pesymistów i optymistów, trudno osądzić, którzy mają rację. W każdym razie jakiej prawdziwej wymowy nabierają słowa, wypowiedziane przed wiekami przez św. Augustyna: „serce moje nie zazna spokoju dopóki nie spocznie w Bogu".

Z jakim uczuciem i z jakimi perspektywami wstępujemy my, chrześcijanie, do nowego roku? Wbrew temu, co się niekiedy o chrześcijanach mówi, jesteśmy przecież ludem nadziei, ludem wiary w lepszą, doskonalszą przyszłość świata. Tylko — i tutaj musimy sobie uświadomić pewną prawdę — ową nadzieję i ową ufność nie zakładamy tylko na ludzkim rozumie i dobrych chęciach człowieka, lecz na łasce i dobroci Bożej, który nas umiłował i nad swoim

stworzeniem stale czuwa. Obchodzone niedawno święta Narodzenia Pańskiego są tej właśnie łaski i dobroci dowodem. Jest jedna rzecz, która nas musi stale na nowo napełniać podziwem i uwielbieniem. Oto przed wielu wiekami, w czasie, kiedy być może nie zaistniała jeszcze w świecie myśl o groźnych następstwach ludzkich osiągnięć, pośród ciemnej nocy zajaśniała gwiazda zbawienia, gwiazda życia, miłości i pokoju. Stanęła ona nad betlejemskim żłobkiem Jezusa, owego Słowa Bożego, które „ciałem się stało". Owa światłość po dzień dzisiejszy przyciąga ku sobie wzrok milionów mieszkańców naszego globu, od niej zapalają się pochodnie wiary, miłości i nadziei. Owa światłość świadczy, iż „nie myśmy umiłowali Boga, ale że On nas umiłował i posłał Syna swego dla ubłagania za grzechy nasze". (Jan 4, 10). A więc Bóg, który nie chce śmierci grzesznika, ale aby się doń nawrócił i żyw był, zstąpił do naszego życia, do naszej rzeczywistości, niosąc z sobą nie śmierć, lecz życie i pokój.

Wyznajemy zatem wiarę w życie, w jego harmonijny rozwój, w jego wartość i celowość. Wyznając zaś taką wiarę, nie możemy nie być uczestnikami wszelkiego działania, które je rozwija i wzbogaca. Powtarzając więc pytanie — czym właściwie może być szczęście człowieka? — moglibyśmy odpowiedzieć, że jest to twórcze działanie w myśl Bożej woli, którego to działania celem jest doskonalenie duszy i budowanie na ziemi Królestwa Bożego. „Albowiem Bożymi współpracownikami jesteśmy" (I Kor. 3, 9a).

Jesteśmy na początku drogi, kryjącej wiele tajemnic i niespodzianek. Jedno jest pewne: nie będzie to droga łatwa i nieskomplikowana. Nie obejdziemy się na niej bez cierpliwości, wytrwałości, ufności i nadziei. To są nieodłączne cechy wiary chrześcijańskiej. Ileż to nierozwiązanych problemów istnieje w świecie! Jest to sprawa pokoju światowego, sprawa pokojowego współżycia narodów, uregulowanie pozostałości ostatniej wojny, zagadnienie głodu wielu milionów ludzi, sprawa wolności człowieka, zabezpieczenie życia świata całego. Jaka jest rola chrześcijan przy rozwiązywaniu tych problemów?

Niejeden z Was, drodzy Czytelnicy, powie, że jako chrześcijańska społeczność, do tego nie mająca wpływu na działanie istotnych sił w świecie, nie jesteśmy zdolni niczego w tym kierunku uczynić. Oczywiście — lecz przy tym winniśmy sobie uświadomić, że podobnie, jak piękny arras utkany jest z tysięcy różnokolorowych nici, tak i Kościół składa się z milionów poszczególnych wyznawców, których wiara niby drogocenne klejnoty przyozdabia tę naszą najcudniejszą budowlę Kościoła, w której każdy szukający znaleźć może pomoc, otuchę i siłę na drogę dalszego życia.

Niejednokrotnie już przekonywaliśmy się jak złudne jest poleganie na szczęściu, sile i mocy człowieka. Łudzimy się jednakże stale na nowo i na nowo też oczekujemy jakiegoś cudownego momentu, któryby zaprzeczył naszej niedoskonałości. Apostoł św. Paweł również niecierpliwie szukał w swym życiu owego kamienia prawdy i pewności, aż do chwili, gdy pod Damaszkiem usłyszał głos Mistrza, a jemu nie pozostało nic innego, jak tylko zawołać: Panie, cóż chcesz abym uczynił? — i odtąd już wiernie służyć Zbawicielowi. W tej właśnie służbie odnalazł sens swego życia, odnalazł i siłę na walkę z wszelkimi przeciwnościami życia, albowiem Ewangelia okazała się dlań „mocą Bożą ku zbawieniu".

Nowy rok otwiera przed nami swe podwoje. Jak dotąd, tak i teraz, znowu przez dwanaście miesięcy jedni z nas będą dążyć do spełnienia określonych zadań, inni borykać się z przeciwnościami losu, jeszcze inni zdobywać przestworza. Wszyscy zaś niejednokrotnie westchniemy z żalem, iż tak mało mamy siły do przezwyciężenia niepokoju, do podołania zadaniom dnia, do pełnienia naszego chrześcijańskiego obowiązku w rodzinie, społeczeństwie, Kościele. Zastanówmy się więc na chwilę nad słowami Apostoła, które oby się stały i naszą dewizą na dni rozpoczynającego się roku: „Na ostatek, bracia moi, wzmacniajcie się w Panu i w sile mocy Jego". Amen.

7 RAZY NASZE MAŁE „ALE"

1. Możemy się do woli chlubić naszą wielką przeszłością, ale pamiętajmy, że ona osądza nas i naszą teraźniejszość.
2. Możemy kontynuować tradycyjne formy przekazane nam przez pokolenia ojców, ale nie zapominajmy przy tym jaką im one treść wyrażały.
3. Możemy oddać cześć Stwórcy tysiącem mów i pieśni, ale niech nasza wielomówność nie będzie pokrywką naszej małej wiary.
4. Możemy wznieść najwspanialsze kościoły i ołtarze, ale nie myślmy, że naprawimy tym bodaj jedną krzywdę uczynioną małemu dziecku.
5. Możemy cały dzień mówić o naszym chrześcijaństwie, ale spróbujmy uniknąć przy tym sądu i fałszywych świadectwo naszych bliźnich.
6. Możemy żyć sto lat, ale postarajmy się móc powiedzieć, że żyliśmy naprawdę choć chwil parę.
7. Wszystko nam wolno, ale nie wszystko pożyteczne.

Dr J. BACHMANN

KOŚCIÓŁ EWANGELICKI W AUSTRII ŻYWYM KOŚCIOŁEM W DIASPORZE

Kościół Ewangelicki w Austrii jest Kościołem mniejszościowym. Na 7 milionów mieszkańców jest około 6% ewangelików, a więc 410 000, z czego ponad 300 000 należy do wyznania augsburskiego (luterańskiego) a reszta do helweckiego (reformowanego). Największe „zagęszczenie ewangelickie" wykazuje Burgenland — 12,7%, najmniejsze zaś Vorarberg, bo niewiele ponad 2%. Jest więc to Kościół mniejszościowy w Austrii, lecz taki, który stale rośnie: w ostatnich 15 latach przybyło mu 100 000 nowych członków. Liczba parafii wzrosła od 126 do ponad 70. W związku z tym obserwujemy wzmożony ruch budowlany.

Ten Kościół mniejszościowy po drugiej światowej wybudował około 80 nowych kościołów i ponad 50 plebanii i domów zborowych. Ponadto wzniesiono wiele prowizorycznych kościółków, domów młodzieżowych, Uniwersytetów Ludowych, lecznic, domów starców, domów wczasowych, zwłaszcza młodzieżowych, urządzeń Misji Wewnętrznej itp. Fakt ten, godny podziwu, powinien stać się i przykładem.

Wiadomo, że Kościół Ewangelicki w Austrii miał wielu pomocników, przede wszystkim Bratnią Pomoc im. Gustawa Adolfa z Niemiec, której odgałęzienie austriackie wiosną 1962 r. obchodziło jubileusz swego 100-lecia. Pomagała także Światowa Federacja Luterska, członkowskie Kościoły Rady Ekumenicznej przede wszystkim ze Szwajcarii i z Niemiec. Niektóre kościoły i inne przybytki religijne zawdzięczają swoje powstanie także ewangelikom z zagranicy, którzy co roku przyjeżdżając do Austrii na urlopy, pomagali w budowie kościołów i w dużej mierze pokrywali koszty tej budowy.

Żywy Kościół Ewangelicki w Diasporze! Wszędzie panuje ruch, ale Kościół Ewangelicki w Austrii ma znacznie więcej konwertytów, niż Kościoły ewangelickie w innych krajach. Często decyduje o tym, jak powiada superintendent Traar, choć może brzmi to niezwykle — służba nad grobem, np. na pogrzebie wieśniaka spotykają się bowiem ewangeliccy i katoliccy chrześcijanie, a na wielu członków Kościoła katolickiego sposób zwiastowania przez Kościół ewangelicki Słowa Bożego nad grobem oddziaływuje szczególnie przekonywująco.

Ewangelicki Kościół mniejszościowy w Austrii nie żyje w nieprzyjaznych stosunkach z Kościołem rzymskokatolickim — przynajmniej dziś już nie. Ta korzystna zmiana nastąpiła wraz z uregulowaniem wzajemnych stosunków — Państwo a Kościół. Ostatni etap tego nowego porządku trwa dopiero od dwóch lat, kiedy to uchwalono „Federalną ustawę o wewnętrznych stosunkach prawnych Kościoła Ewangelickiego w Austrii", poprzez którą Kościół ewangelicki otrzymał od Państwa pełną wolność i nieograniczone prawo do samodzielnego regulowania swych spraw i kierowania nimi. Kościół zaś odpowiedział na to wewnętrzną ustawą, jak sformułował to ongiś biskup May, o świadomym przyznaniu się do swego Państwa.

Czy ktoś dzisiaj wie, że Austria była kiedyś krajem zupełnie ukształtowanym przez Reformację? Na obszarze dzisiejszego państwa na 100 Austriaków było co najmniej 90 ewangelików. Potem przyszła kontrreformacja. Od roku 1600 do 1781 Kościół ewangelicki w Austrii był prześladowany i uciskany, był Kościołem męczeńskim. W niektórych częściach Austrii, zwłaszcza w Karyntii, ewangelicy pomimo takich prześladowań wytrwali w swej wierze, potajemnie ucząc się Katechizmu i czytając Biblię. Pomimo to w Austrii zapanował katolicyzm. Potem przyszedł rok 1781, w którym cesarz Józef II wydał „Patent tolerancyjny", dający ewangelikom prawo do osobistego pielęgnowania swego kultu i zakładania tzw. „zborów tolerancyjnych". Osiemdziesiąt lat później, w r. 1861, wydany zostaje „Patent protestancki", który dał ewangelikom w Austrii pełną wolność wyznania i publicznego sprawowania kultu, czyniąc ich pełnoprawnymi obywatelami. Równouprawnienie Kościołów przyniosła jednak dopiero ustawa protestancka z r. 1961. Tym samym został ustawowo ugruntowany stosunek zaufania między Państwem a Kościołem ewangelickim, życzliwie przyjęty zarówno przez Kościół, jak i przez Państwo.

Pomimo to Kościół Ewangelicki w Austrii jest i pozostaje Kościołem Diaspory. Potrzebuje też nadal pomocy i poparcia ze strony innych Kościołów ewangelickich.

(Tłum. Ks. T. Bruell)

JERZY BOMER

Stosunek Rzymian do Chrześcijaństwa w pierwszych wiekach Cesarstwa

W okresie wczesnego Cesarstwa Rzymskiego, gdy rozpoczął się zwycięski marsz chrześcijaństwa, w Rzymie panował politeizm. Rzymianie bez wstrętów, a przeciwnie, dosyć chętnie przyjmowali do swego panteonu bóstwa wszystkich ludów, którymi rządzili, utożsamiając je, według starego, egipskiego jeszcze sposobu, ze swoimi bóstwami. Tak działo się na przykład z Izydą, Mitrą, Kybele i innymi bóstwami ludów Wschodu. Jedynymi religiami, z którymi Rzymianie nie mogli sobie poradzić, były religie wyznające wiarę w Jedynego Boga — mozaizm i chrześcijaństwo. Pomimo, że Rzymian cechowała wielka tolerancja poglądów osobistych (mam tu na myśli Rzymian, którzy należeli do sfer rządzących), nigdy nie byli oni tolerancyjni wobec przekroczenia prawa; w prawie natomiast wielką rolę odgrywały uroczystości religijne i obrządki, podczas których należało niejednokrotnie składać ofiary, uznawać swoją zależność w stosunku do bóstw rzymskich. Na to chrześcijanie nie mogli się nigdy zgodzić, uważając jednocześnie, że bogowie rzymscy i upadłe anioły — to jedno, i że w czasie, gdy oddawaliby pokłon bogom Rzymu, modliliby się jednocześnie do szatana. Z tego powodu bardzo często oskarżano chrześcijan o rzekomy ateizm. Nawet najpobożniejsi i ogólnie szanowani chrześcijanie byli często narażeni na oskarżenie właśnie dla źle pojętej niepobożności.

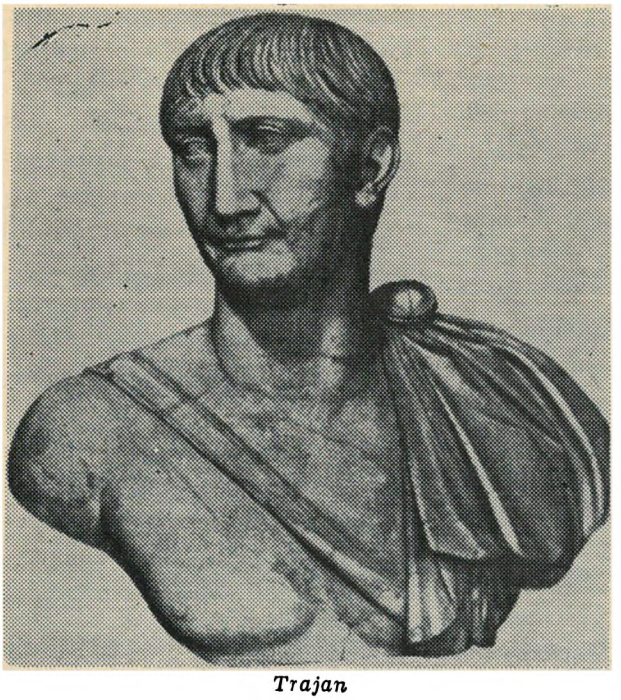

Trajan

Drugim zarzutem, jaki skierowywano przeciw chrześcijanom, był zarzut ich oddzielania się od politeistów, tworzenia jakby państwa w państwie, społeczeństwa w społeczeństwie. Nieraz przecież prozelici zrywali nawet ze swoją najbliższą rodziną i oddawali się całkowicie społeczeństwu chrystusowemu. W ten sposób każdy chrześcijanin był uważany za winnego, gdyż wchodził w skład organizmu, który już z charakteru swego wrogi był rzymskiemu społeczeństwu.

Potajemne zgromadzenia chrześcijan były także sprzeczne z prawem. Początkowo potajemność zebrań była uwarunkowana koniecznością, należało po prostu zachować minimum środków ostrożności, potem jednak sami chrześcijanie starali się o jak największą tajemniczość zgromadzeń, sądząc, że właśnie w ten sposób staną się one bardziej szanowane i cenione, zarówno przez pogan, jak i przez nowonawróconych. Doprowadziło to jednak do najrozmaitszych przypuszczeń na temat zgromadzeń chrześcijańskich ze strony ludu rzymskiego. Między innymi uważano, że chrześcijanie piją krew małych, niewinnych dzieci, urządzają orgie, przy których dochodzi nawet do kazirodczego obcowania.

To wszystko razem było powodem, że pospolity Rzymianin odnosił się do chrześcijan wrogo i skłonny był przypisywać im najróżnorodniejsze przestępstwa. Nie mógł bowiem Rzymianin zrozumieć ludzi, którzy za nic sobie mieli przyjemności, rozrywki i rozkosze tego świata, myśleli tylko o służbie swemu dziwnemu Bogu, cenili tylko dobroć, miłość, sprawiedliwość i mimo różnic w urodzeniu, majątku, czy wychowaniu, uważali się za braci.

W 65 r. w Rzymie wybuchł pożar, którego siła przekraczała wszystkie dotychczasowe pożary. O wielkości pożaru może świadczyć fakt, że na czternaście dzielnic Rzymu tylko cztery pozostały nietknięte, a trzy zostały doszczętnie zniszczone. Można sobie wyobrazić rozpacz

i depresję mieszkańców Wiecznego Miasta, gdy prawie połowa straciła wszystko, co posiadała. Nic więc dziwnego, że lud domagał się jak najszybszego znalezienia sprawcy nieszczęścia i wymierzenia mu sprawiedliwości.

Był to dziesiąty rok panowania cesarza Nerona, znanego z wielce niemoralnego trybu życia, z dziesiątków awantur, a nawet zbrodni. Było powszechnie wiadomo, że Neron nie tylko usuwał arystokratów, aby nie mieć przeciwników, lub aby zagarnąć ich majątek, ale posunął się do zamordowania matki i żony. Większość wierzyła nawet, że nie kto inny tylko on sam podpalił Rzym. Cesarz próbował przeciwdziałać. Początkowo otworzył swoje prywatne ogrody, by ludzie pozbawieni domostw mieli gdzie zamieszkać i przydzielił duże ilości żywności i zboża po stosunkowo niskich cenach. Ale to nie pomogło wiele. Wówczas Neron oskarżył chrześcijan o podpalenie Rzymu i postanowił udobruchać lud krwawym widowiskiem, w którym przecież każdy prawdziwy Rzymianin bardzo się kochał.

Oto co pisze o męczeństwie chrześcijan historyk rzymski Tacyt: „Niektórych przybito do krzyżów, innych zaszyto w skóry dzikich zwierząt i rzucono na pastwę rozwścieczonych psów, jeszcze innych, wysmarowanych materiałami palnymi, użyto za pochodnie do rozświetlania ciemności". Są to fakty dobrze znane, choćby z wielkiego dzieła Sienkiewicza, który oparł się na pismach historyków starożytnych, między innymi właśnie Tacyta.

Tym ponurym akcentem rozpoczyna się historia Kościoła. Było to przecież dopiero 35 lat po śmierci Chrystusa.

Około trzydziestu lat później cesarz Domicjan (81—96) na nowo rozpoczyna prześladowania. Dotyczyły one głównie Żydów za niepłacenie podatku pogłównego. Ulegli mu także chrześcijanie, częściowo dlatego, że nie zawsze Rzymianie odróżniali „sekcierzy", częściowo zaś dlatego, że niektórzy chrześcijanie byli żydowskiego pochodzenia. Wtedy to omal nie zostali skazani na śmierć wnukowie św. Tadeusza Judy. Jednak, gdy wyrafinowani i zdegenerowani Rzymianie zobaczyli, że ludzie z królewskiego rodu Dawida zajmują się zwykłą, codzienną pracą i mają stwardniałe dłonie od uprawy roli, puścili ich z pogardą. Cesarz Domicjan niewiele ustępował Neronowi, choć w wypadku wnuków św. Tadeusza Judy okazał wspaniałomyślność, wkrótce potem skazał na śmierć swego stryjecznego brata Flawiusza Klemensa, a siostrzenicę swoją, Domicyllę, wygnał na bezludną wyspę. Oskarżono ich o „żydowskie obyczaje i ateizm"; dziwne to cokolwiek oskarżenie, ale dające się tylko zastosować do chrześcijan, patrząc na nich oczyma ówczesnej arystokracji państwowej. Wkrótce potem Domicjan zostaje na skutek intryg pałacowych zamordowany przez niewolnika. Kościół uznał Klemensa i Domicyllę za swych pierwszych męczenników.

Septimus Severus

Po śmierci Domicjana prześladowanie chrześcijan straciło na sile, powoli zmieniał się także stosunek cesarzy do chrześcijaństwa. Za przykład niech tu posłuży fakt, stosunkowo bliski czasowo wydarzeniom, które zaszły za Domicjana i o których powyżej wspomniałem.

Otóż — przyjaciel cesarza Trajana (98—117?) Pliniusz Młodszy, otrzymał w zarząd kilka prowincji położonych na wschodzie Cesarstwa. Nie wiedząc jak ma rozstrzygnąć niektóre problemy, związane z sądownictwem chrześcijan na tych terenach, zwraca się do swego przyjaciela i pana z prośbą o radę. Trajan, w odpowiedzi, nie ustala jakichś ogólnych metod w sprawie osądzania chrześcijan, ale ustala kilka bardzo ludzkich norm postępowania z nimi. Zabrania badać przypuszczalnych „przestępców" i rozpoczynać badania sądowe na podstawie niepewnych doniesień i anonimów. Dla skazania posądzonych o chrześcijaństwo konieczny jest jawny oskarżyciel z realnymi dowodami, które można w każdej chwili przedstawić i udowodnić, że są niezbite. W razie przedstawienia niewystarczalnych dowodów oskarżyciel podlegał surowej karze. Normy Trajana częściowo zmniejszyły prześladowanie chrześcijan, jednak zawodziły one, gdy ukarania chrześcijan domagał się tłum, przypisujący im różnego rodzaju nieszczęścia: wylewy Tybru, plagi głodu itp. Wtedy na ogół zarządcy prowincji postępowali tak, jak sobie zażądała tłuszcza i zaczynały się znowu tortury. Śmierci mógł chrześcijanin łatwo uniknąć — wystarczyło uznać rzymskich

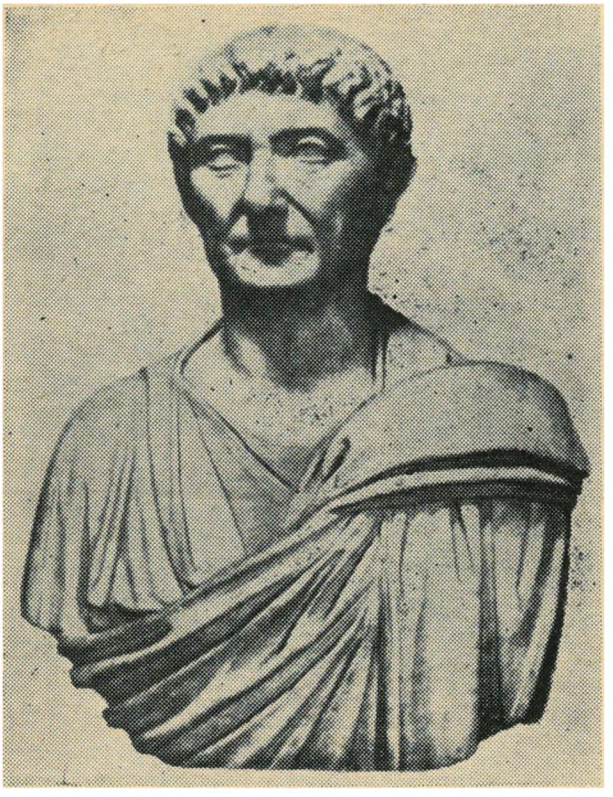

Dioklecjan

bogów, rzucić kilka ziarenek na ołtarz... Sędziowie pogańscy bardzo często namawiali chrześcijan do „nawrócenia się". Najczęściej jednak wiara u pierwszych wyznawców Chrystusa była tak silna, że odrzucali oni perspektywy spokojnego życia za cenę odstępstw od wiary prawdziwej. Dużą rolę odgrywała tu także chęć poniesienia męczeńskiej śmierci.

Od czasów Sewera (193—211) sytuacja chrześcijan ulegał dalszemu polepszeniu. Zawieszono surowość starych praw i wielkorządcy prowincji zadowalali się otrzymywaniem co rok darów od kościołów. Sewer, w późniejszych latach swego panowania, wydał edykt przeciwko prozelitom, zamierzając powstrzymać rozszerzanie się chrześcijaństwa, nie był on jednak groźny w skutkach.

Po śmierci Sewera chrześcijanie otrzymują nowe prawa — zezwolono im budować kościoły i kupować ziemię w Rzymie. Mieli teraz wstęp do pałacu cesarskiego, nawet sami cesarze zaczęli pozytywnie patrzeć na chrześcijan. Ostatni cesarz z dynastii Sewerów — Aleksander (222—235), wykazując swój niewątpliwie rzymsko pojęty, ale pozytywny stosunek do chrześcijan, postawił w kaplicy pałacowej między innymi posągi Mojżesza i Chrystusa.

Spokój, związany z osłabieniem prześladowań, trwał do 249 r.

Ks. Ryszard Trenkler

100 LAT

„ZWIASTUNA EWANGELICZNEGO"

W historii ewangelickiej prasy religijno-kościelnej rok 1863 zajmuje i zajmować będzie poczesne miejsce. 15 stycznia 1863 roku ukazał się bowiem pierwszy numer „Zwiastuna Ewangelicznego", pierwszego czasopisma polsko-ewangelickiego w centralnej Polsce, które miało aspiracje objęcia swoim zasięgiem całego protestantyzmu polskiego. Zarówno Śląsk, jak i Mazury miały już swoje polsko-ewangelickie periodyki, jednakże zasięg ich był raczej ograniczony do pewnego rejonu.

Założycielem „Zwiastuna Ewangelicznego", jego wydawcą i redaktorem — najpierw jako dwutygodnika — był ks. dr Leopold Otto (1819—1882), wielki patriota, doskonały teolog i duszpasterz. Gdy po pogromie protestantyzmu polskiego doby reformacyjnej, w końcu XVIII i na początku XIX wieku na ziemiach polskich osiedliły się tysiące ewangelików narodowości niemieckiej, przewaga tego żywiołu obcego zdawała się zadusić pozostałości polskiego protestantyzmu w centralnych ziemiach Polski i to zarówno pod względem języka i zwyczajów, ks. dr Leopold Otto był w tym czasie w Kościele ewangelicko-augsburskim jedynym człowiekiem, zdającym sobie sprawę, że tylko polski ewangelicyzm może na ziemiach polskich spełnić swoją dziejową misję. Z tego zrozumienia zrodziła się śmiała myśl wydawania polsko-ewangelickiego pisma, któreby z jednej strony, było legitymacją rodzimego protestantyzmu, a z drugiej strony służyło umacnianiu żywiołu polskiego w Kościele.

Pierwsze dwadzieścia lat istnienia „Zwiastuna Ewangelicznego" związane są ściśle z nazwiskiem ks. dr L. Otto. Gdy w roku 1867 zmuszony jest przenieść się do Cieszyna (pod naciskiem carskich zaborców), zabiera ze sobą też „Zwiastun". Choć nadal jest duszą swego pisma — obecnie już miesięcznika — to jednak nie występuje w charakterze redaktora, gdyż brak obywatelstwa cesarsko-austriackiego na to nie pozwalał. I tu na ziemi cieszyńskiej „Zwiastun" pełnił nadal swoją narodową i religijną misję.

Po dziesięciu latach ks. dr Otto wraca do Warszawy wraz ze swoim „Zwiastunem Ewangelicznym". Sam jest jego wydawcą i redaktorem a także autorem większości artykułów. Nic dziwnego, że z braku współpracowników, po śmierci redaktora w roku 1882, nie ma w Warszawie osoby, któraby ciężkie brzemię wydawania pisma wzięła na swoje barki. Tu nie chodziło jedynie o wkład pracy. Pismo o nakładzie 400 egz. musiało być deficytowe. Tylko tak wybitnie ideowa jednostka, jak ks. dr Otto mogła rozumieć, że i w takich warunkach warto wydawać czasopismo. On już wtedy wiedział, że do pisma mającego odegrać ideową i pionierską rolę nie można podchodzić z punktu widzenia komercyjnego. Po śmierci ks. Otto ukazały się tylko trzy numery „Zwiastuna" pod redakcją ks. Angersteina. „Zwiastun" przestał wychodzić. Dopiero po 6 latach przerwy w r. 1898, z inspiracji pastora nowodworskiego H. Schultza, będącego zarazem superintendentem warszawskim, „Zwiastun" znów się ukazuje, tym razem pod redakcją drugiego pastora zboru stołecznego, ks. Juliusza Burschego. Przy współpracy ks. H. Schultza i ks. A. Schoneicha wznowione zostają najlepsze tradycje dawnego „Zwiastuna". Zasięg jego rozszerza się, zainteresowanie czytelników rośnie. Nakład wzrasta najpierw do 1500 a następnie do 2000 egzemplarzy. Gdy w roku 1905 ks. Bursche zostaje gen. superintendentem, redakcję przejmuje ks. A. Schoneich. I tak już pozostaje do wybuchu pierwszej wojny światowej.

Po pierwszej wojnie światowej pojawia się więcej czasopism ewangelickich („Ewangelik" — r. 1919, „Głos Ewangelicki" — r. 1920) a wśród nich, z inicjatywy ks. Lotha i ks. Michelisa, pod redakcją tego ostatniego „Zwiastun Ewangeliczny" (r. 1921), rozbudowany do rozmiarów tygodnika. W roku 1938 redakcję obejmuje Władysław Ewerth. Ostatni numer wychodzi 3 września 1939 r.

Po drugiej wojnie światowej „Zwiastuna Ewangelicznego" nie wznowiono. W jakim stopniu, przekształcony w roku 1960 ze „Strażnicy Ewangelicznej", obecny „Zwiastun" (bez dodatku „Ewangeliczny") jest kontynuatorem wielkiej spuścizny i tradycji dawnego „Zwiastuna Ewangelicznego", będzie można ocenić dopiero z pewnej perspektywy czasu.

„Jednota", jako pismo o charakterze ekumenicznym, nie może nie podkreślić faktu, że „Zwiastun" ks. Otto i ks. Burschego, mimo wyraźnego stanowiska luterańskiego, traktował protestantyzm polski jako nierozdzielną całość i to zarówno w odniesieniu do przeszłości (artykuły historyczne o Łaskim, Reju itd.), jak i do współczesności. „Zwiastun" przynosił regularnie wiadomości z życia Kościoła Reformowanego w Polsce. Na ostatniej stronie każdego numeru, podobnie jak to czyni obecnie „Jednota", znajdował się porządek nabożeństw obu parafii ewangelickich w Warszawie: ewang.-augsburskiej św. Trójcy oraz ewang.-reformowanej. Członkowie Kościoła reformowanego, nie mając w czasach zaborów własnego pisma, uważali „Zwiastun Ewangeliczny" za swój, który bez przesady mógł być nazwany pierwszym ewangelickim periodykiem ekumenicznym. Świadczy o tym m.in. wypowiedź ks. Burschego w odezwie noworocznej z r. 1902: „wiara w tego Chrystusa, miłość ku drogiemu sercu naszemu Kościołowi ewang.-augsburskiemu, bratnia dłoń wyciągnięta do wyznawców Kościoła reformowanego, poszanowanie dla innych wyznań, pragnienie zgody i jedności w całym Kościele chrześcijańskim, przywiązanie do tego co swojskie, — oto przy czym pozostanie „Zwiastun", jedyne u nas pismo ewangelickie w mowie polskiej".

Do tych tradycji dobrosąsiedzkich i ekumenicznych należy nie tylko nawiązywać. Takie tradycje należy pielęgnować i rozszerzać. Kto po tej drodze kroczyć będzie uparcie i konsekwentnie, zasłuży sobie na zaszczytne miano spadkobiercy i kontynuatora świetnego „Zwiastuna Ewangelicznego" sprzed stu lat.

przy współudziale ks. ks. pastorów **Schultza** z Nowego Dworu i **Schoeneicha** z Lublina redagowany przez ks. pastora **Burschego** w Warszawie

Warszawa dnia 3 (15) stycznia 1900 r.

Zwiastun Ewangeliczny wychodzi dnia 15 każdego miesiąca. **Przedpłata** wynosi rocznie w Warszawie rb. 1 kop. 50 z przesyłką pocztową w kraju rb. 2, w Austrji 2 zł. r. 75 kr.; w Niemczech 4 m. 50 f. Dziesięć egzemplarzy pod jednym adresem rb. 15. Ogłoszenia po kop. 10 od wiersza. Prenumeraty i ogłoszenia przyjmuje **Skład główny** w księgarni **W. Miatkego** w Warszawie, Elektoralna Nr. 30. Prenumerować można też u redaktora pod adresem **ks. pastor Bursche** w Warszawie, Królewska Nr. 19.

TREŚĆ

Na Nowy Rok.—Orli wzlot i orli wzrok.—Jan Łaski, reformator polski (dalszy ciąg).—Z przeszłości szlachty polskiej ewangelickiej.—Jak zostałem ewangelikiem.—Ruch polsko-ewangelicki w Prusach.—Ś. p. ks. superintendent Erdmann. Irena, powieść z czasów reformacji (dalszy ciąg).—List do redakcji.—Wiadomości z kościoła i ze świata.—Ofiary.—Nabożeństwa.—Odpowiedzi redakcji.—Ogłoszenia.

Na Nowy Rok

Jak rzeka bieży szybkim z gór potokiem,
Nim w głębiach morskich swe zagubi tonie,
Tak czas na skrzydłach niesie rok za rokiem
Składając przeszłość na wieczności łonie.

Przed okiem Twem, o Boże, wszystko jawne
Co już minęło i co nam wypadnie
Obecne Tobie dzieje starodawne,
Co jest, co będzie, czego nikt nie zgadnie.

Choć pasmo wieków toczy się bez końca
Podlega ciągłej cały świat odmianie,
Choć miną światy i blask zgaśnie słońca,
Ty żyjesz wiecznie wszechmogący Panie!

Obiega bryła ziemi swe koleje,
Na której mieszka słaby ród człowieczy.

Witold Benedyktowicz

W SETNĄ ROCZNICĘ POWSTANIA STYCZNIOWEGO

W dziejach Powstania Styczniowego zwraca uwagę znakomita organizacja polityczna, z drugiej zaś strony niezwykłe ubóstwo i niedowład organizacji wojskowej. Niedole oręża powstańczego były wynikiem położenia, w jakim znajdowało się Królestwo Polskie w latach sześćdziesiątych. Nie było polskich sił zbrojnych, zorganizowanych w regularną armię, jak w r. 1830/31, zerwana była nić polskiej tradycji wojskowej, przeważającym siłom wroga można było przeciwstawić tylko rozpaczliwy zryw, przy dotkliwym braku kadry dowodzącej, uzbrojenia i zaopatrzenia.

Organizacja cywilna rodziła się w latach 1860—1862. Właściwie należy mówić o wielu różnorodnych poczynaniach organizacyjnych. Jedne z nich były trwalsze — inne mniej trwałe. Panowały w nich dwie orientacje, których istnienie i działanie zbiegały się wyraźnie z podziałem klasowym. Biali reprezentowali interesy szlachty i zamożnego mieszczaństwa. Przyświecała im idea kierowania całokształtem polityki narodowej; w ich rachubach powstanie miało być atutem politycznym w ich ręku, środkiem ostatecznym, który zresztą miał być zastosowany w sprzyjających okolicznościach. Biali liczyli na koncesje, jakie będą mogli uzyskać ze strony caratu. Koncesje takie i bardzo pożyteczne reformy nastąpiły, ale nie było to zasługą białych, lecz owocem wytrwałych i intelignetnych zabiegów margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, który w 1862 r. otrzymał nominację na naczelnika rządu cywilnego Królestwa, obdarzonego autonomią.

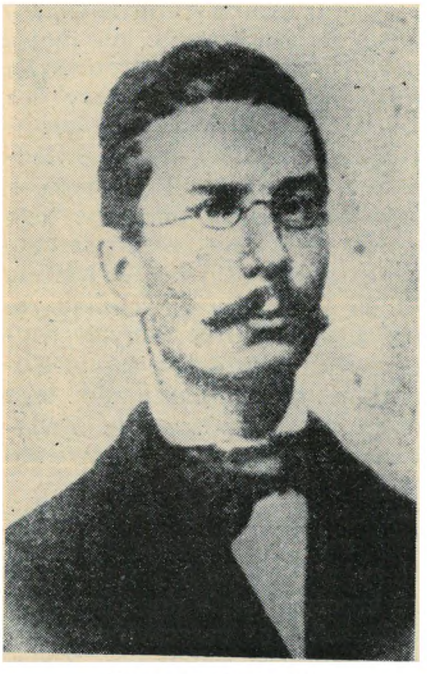

Romuald Traugutt

W programie czerwonych powstanie było na pierwszym miejscu. Wszelkie paktowanie z „najazdem", jak nazywano rządy caratu w Polsce, było najsurowiej potępiane. Pośród czerwonych były grupy bardziej radykalne, były też umiarkowane. Krąg ten rekrutował się z radykalnej inteligencji, elementu studenckiego i rzmieślniczego; orientacja ta pociągała masy miejskie. Liczono też na nastroje rewolucyjne w całej Europie oraz w samej Rosji.

Organem wykonawczym białych była tzw. Dyrekcja, czerwoni rozporządzali niezwykle ruchliwą organizacją miejską, z Komitetem Miejskim na czele. W r. 1862 drogą zamachu w Komitecie Miejskim, doszło wprawdzie do utworzenia nowego komitetu, jednoczącego białych z czerwonymi, lecz zostało to opłacone rozbiciem faktycznie rewolucyjnej organizacji — organizacji miejskiej.

Reformy Wielopolskiego nie zdobyły większej popularności, mimo że margrabia zdołał sobie na pewien czas zapewnić przychylność białych. Nieszczęściem tego męża stanu było, że chciał realizować swoją politykę dla narodu — bez narodu, a nawet wbrew narodowi. W okresie największego rozdźwięku Wielopolskiego z narodem, nowy Komitet Centralny, pozostający pod umiarkowanym kierownictwem, ogłosił się jako władza narodowa, wzywając naród do bezwzględnego posłuchu. Wezwanie to zostało przyjęte i dotrzymane niemal do końca Powstania.

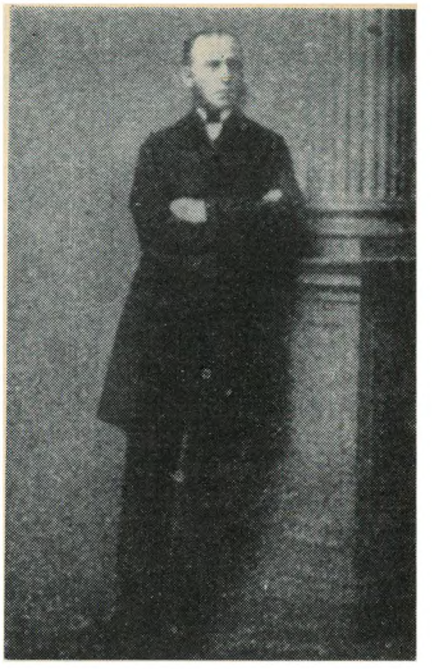

Ks. Dr L. Otto

Przyśpieszenie wybuchu Powstania nastąpiło na skutek słynnej branki Wielopolskiego. Margrabia przeforsował ją wbrew prawu i wbrew stanowisku władz petersburskich, jak również wbrew stanowisku namiestnika Królestwa księcia Konstantego i głównodowodzącego armią w Królestwie — gen. Ramsaya. Branka miała być śmiercią organizacji narodowej i rozbrojeniem potencjalnego elementu powstańczego.

Wybuch powstania został wyznaczony na noc z 22 na 23 stycznia 1863 r. Młodzież, aby uniknąć poboru do wojska rosyjskiego, udała się do lasów, schwyciwszy za broń. Komitet Cetralny opuścił Warszawę z zamierzeniem udania się do Płocka, gdzie miał się ujawnić w charakterze Rządu Narodowego. Wielkim błędem Komitetu było, że postanowił powierzyć władzę dyktatorską Ludwikowi Mierosławskiemu, z

chwilą, gdy znany ten rewolucjonista stanie na ziemi polskiej. Mierosławskiemu nie powiodła się kampania. Po bitwie pod Nową Wsią, nad Gopłem, opuścił teren walki i udał się z powrotem do Francji.

Powstanie ogarnęło cały kraj, nie tylko w granicach Królestwa, lecz również w tzw. po pierwszym i drugim rozbiorze „prowincjach zabranych". Była to walka partyzancka, lokalne a sporadyczne sukcesy nie mogły przeważyć szali na korzyść powstańców.

Wobec rozszerzenia się powstania, biali nie chcieli pozostawać bez wpływu na ten ruch. Wzięli oni udział w zabiegach o powołanie nowego dyktatora, którym został Marian Langiewicz. Dyrekcja białych rozwiązała się, mieli oni odtąd bezpośrednio brać udział w ruchu i w rządzie.

Los drugiego dyktatora też był niefortunny. Opuścił on również Polewki, zamierzając się udać na krótki czas do Krakowa, a potem w Lubelskie, aby kontynuować dowodzenie. Został jednak ujęty przez Austriaków, a jego oddziały poszły w rozsypkę.

Obie dyktatury były niepożądane i były swego rodzaju nadużyciem. Dlatego też Rząd Narodowy, po aresztowaniu Langiewicza, wydał odezwę, w której głosił, że na powrót obejmuje władzę w swe ręce i że wszelkie próby przejęcia władzy dyktatorskiej w przyszłości uważać należy za zbrodnię stanu.

Sprawa Powstania odbiła się szerokim echem w Europie. Sympatia dla Polaków była wielka, jednakże, poza gestami, nie było żadnych konkretnych działań ze strony rządów europejskich na korzyść uciemiężonego narodu. Solidarność z walczącymi wyraziła się jedynie w udziale szlachetnych jednostek w walce po stronie polskiej. Znane są nazwiska Włochów: Francesco Nullo i Stanisława Bechchi, Francuza: Franciszka Rochenbruna, Rosjanina: Aleksandra Potiebni, którzy bohatersko walczyli w Powstaniu.

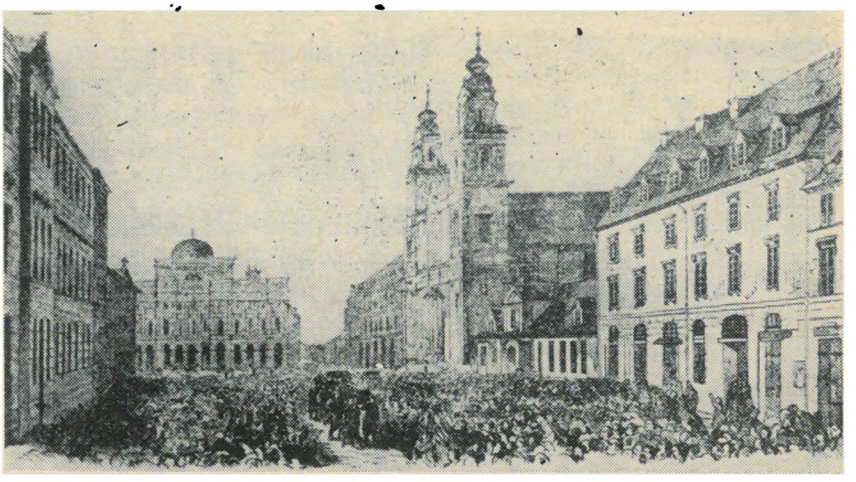

Pogrzeb 5 poległych 2 marca 1861 r.

Dramatem Powstania było, że nie udało się pozyskać do niego chłopów. Udział chłopów w Powstaniu był sporadyczny. Jakkolwiek manifest Rządu Narodowego z 22 stycznia zrównał chłopów w prawach obywatelskich, to jednak Powstanie było w ich oczach sprawą szlachecką: za dużo nieufności nagromadziło się przez wieki, by chłop mógł się poczuć w pełni członkiem społeczeństwa. Ponadto Rząd Narodowy, po dyktaturze Langiewicza znajdujący się pod znacznym wpływem białych, unikał starannie akcentów społecznych, głosząc, że Powstanie ma charakter wyłącznie narodowy i że jego celem jest odzyskanie niepodległości, a nie reformy socjalne.

Rząd Narodowy przechodził zmienne koleje. Brali w nim górę raz czerwoni, raz biali. Zmianom położyło kres objęcie rządów przez Romualda Traugutta. Były pułkownik armii rosyjskiej, dowódca powstania w Kobryńskim, zreorganizował rząd, obejmując de facto dyktaturę. Nie było w tym wszakże nic z tych ujemnych cech, które zdyskwalifikowały poprzednie dyktatury. Traugutt wniósł niezwykłą pracowitość, systematyczność i heroiczne poświęcenie. Sam niemalże podtrzymywał dogasające powstanie. Proces pacyfikacji, prowadzony bezwzględnymi metodami, postępował bowiem i coraz puściej się robiło dokoła naczelnika Rządu Narodowego. Mnożyły się aresztowania, załamywali się ludzie, wydając w ręce wroga towarzyszy walki i konspiracji.

Traugutt wytrwał do ostatka. Nie skorzystał z możliwości i ratunku jakim byłby wyjazd zagranicę, nie spoczął w pracy, choć zdawał sobie jasno sprawę z beznadziejności całego ruchu. Wreszcie przyszedł dzień, gdy i do jego drzwi zapukała żandarmeria. Mężnie przetrzymał śledztwo, nie wydał nikogo i ze spokojem przyjął wyrok śmierci. Zawisł na szubienicy, wespół z czterema współpracownikami, których

Edward Jurgens

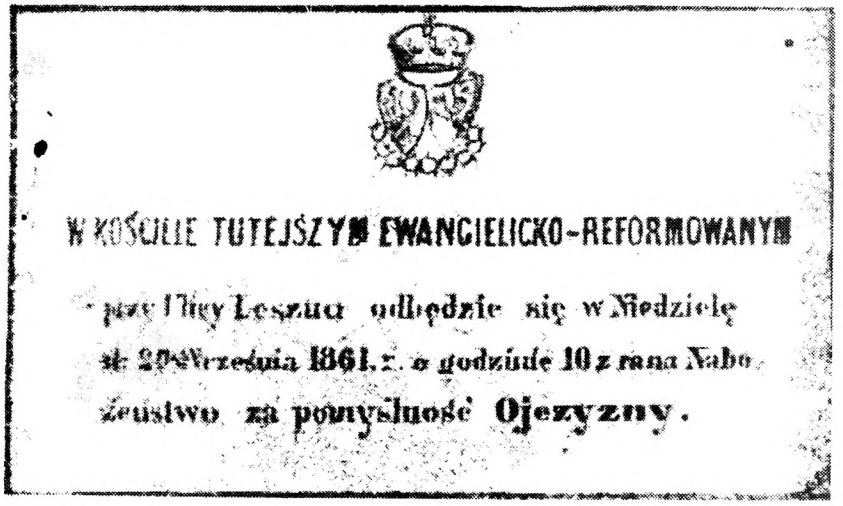
W KOŚCIELE TUTEJSZYM EWANGIELICKO-REFORMOWANYM
przy Ulicy Leszno odbędzie się w Niedzielę
dn. 20 Września 1861 r. o godzinie 10 z rana Nabo-
żeństwo za pomyślność Ojczyzny.

Muz. nar. pol. w Rapperswilu

Zaproszenie na nabożeństwo

ogłoszono za członków Rządu Narodowego, z perfidnym zamierzeniem wykorzenienia wszelkiej nadziei w sercach Polaków na dalszą walkę.

Istotnie przyszyły czasy ciężkie, kiedy w swej polonofobii wykreślono nawet oficjalnie nazwę Królestwa Polskiego, zastępując ją „Krajem Prywislańskim", kiedy zrusyfikowano szkolnictwo, administrację, sądownictwo, kiedy śniło się niektórym, że dzieci polskie zapomną polskiej mowy i nie minie jedno pokolenie, gdy będą mówić po rosyjsku.

Ponad 50 lat trwały jeszcze rządy „najazdu", żeby użyć

Karol Ruprecht

powstańczej terminologii, zanim naród polski mógł wznieść na miejscu kaźni Traugutta krzyż i oddać jawnie cześć naczelnikowi Powstania, cześć, którą pielęgnował w głębi serc.

W piśmie ewanglickim nie od rzeczy będzie przypomnieć udział ewangelików warszawskich w ruchu patriotycznym i w Powstaniu.

Szereg słynnych manifestacji warszawskich rozpoczął się od pogrzebu generałowej Sowińskiej, w dniu 15 czerwca 1860 r. Mieszkańcy Warszawy tłumnie odprowadzili zmarłą na miejsce wiecznego spoczynku na cmentarzu ewangelicko-reformowanym, wystający z trumny całun rozdzielili na cząstki jako relikwię narodową, później manifestowali na dawnych okopach Woli, gdzie zginął generał Sowiński. Odtąd manifestacje powtarzały się coraz częściej, zrazu w kościołach, później w pochodach i procesjach. Gdy po wtargnięciu Kozaków do jednego z kościołów, zamknięto kościoły katolickie, rada kościelna parafii ewangelickiej postanowiła również na znak protestu zamknąć kościół św. Trójcy. Pastor tutejszej parafii ks. Leopold Otto był członkiem delegacji miejskiej, rządzącej faktycznie stolicą w lutym i marcu 1862 r. Zaangażowany był on czynnie w ruch patriotyczny i został zmuszony do opuszczenia Królestwa. Ewangelikiem był Karol Ruprecht, który za próby rewolucyjne w roku 1842 został skazany na śmierć. Ułaskawiony pod szubienicą, został zesłany na Sybir, skąd powrócił do Warszawy w r. 1858. Ruprecht był członkiem Dyrekcji białych. Odznaczał się wielkim poświęceniem i z wielką sumiennością troszczył się o finanse Powstania. W połowie 1863 r. udał się do Francji i tam działał na rzecz Powstania, rozwijając jednocześnie opiekę nad emigrantami. Ewangelikiem był również Karol Jürgens, przywódca tzw. millennerów, zmarły w cytadeli w toku śledztwa. Najwybitniejszym dzia-

Franciszek Nullo

łaczem był Bronisław Szwarc, wyznania ewangelicko-reformowanego; przedwczesne aresztowanie uniemożliwia mu bezpośredni udział w pracach Rządu Narodowego w okresie Powstania. Sprawę narodową łączył on radykalnie z wyzwoleniem społecznym, był jednym z pierwszych polskich socjalistów. Kuzynki jego, Henrichówne, do końca służyły jako kurierki Rządu Narodowego.

W śledztwach nie załamały się i nie wydały nikogo. W szeregach walczących nie brakło też młodzieży ewangelickiej; rejestr ich nazwisk jest znaczny i obszerny.

Naczelnik ostatniego Rządu Narodowego Traugutt, mimo że tak mniemano, ewangelikiem nie był. Pochodził ze spolonizowanej rodziny saskiej i był bardzo gorliwym katolikiem. Jego pierwsza żona była ewangeliczką, lecz wychodząc za mąż, przeszła na katolicyzm. Traugutt łączył systematyczność i sumienność charakteru z żarliwą pobożnością.

Pod szubienicą nie przestawał szeptać modlitw wobec swego spowiednika; wielu myślało, że w ostatnim momencie życia przekazuje w ten sposób ważne tajemnice rządowe.

Powstanie Styczniowe, zrodzone z desperackiego protestu i niemal rozpaczy, zostało opłacone przez naród wielką ceną. Wielkość ofiar i poświęcenie nie poszły jednak na marne i utrwaliły w duszy narodu pragnienie wolności, które miało się urzeczywistnić w następnym stuleciu.

PRZECIWKO BOGOM

Dzieją się rzeczy na świecie, o których się filozofom nie śniło.
Warto jest żyć w takiej epoce, która dech zapiera i twarze rumieńcem krasi.

Pokolenie powojenne, które dziś wchodzi w życie lub stoi u jego progu, doczeka się niewątpliwie jeszcze wspanialszych osiągnięć naukowych, które mogą zmienić formy życia na ziemi.

Nazwiska radzieckich bohaterów przestworzy Nikołajewa i Popowicza, które przed kilku miesiącami były nie znane, wymawiają miliony ludzi na całym globie ziemskim z różnymi uczuciami. Fakt jednak pozostaje faktem. Świadczy o potędze rozumu ludzkiego, rozwoju nauki i jej znaczeniu a to myślących ludzi napawa radością i dumą.

Nas obchodzi inny aspekt tej sprawy.

Rozwój nauk technicznych i przyrodniczych i ostatnie zwycięstwa w zdobywaniu kosmosu osłabia i załamuje wiarę wielu ludzi. Skoro kosmonauci w przestworzach na szlaku podniebnym nie spotkali Boga, to Boga chyba w ogóle nie ma i wszelka wiara jest fikcją. Po co również potrzebna religia, skoro nauka wszystko odkrywa i wszystko wyjaśnia.

Wiara i religia dla wielu ludzi w Polsce — to tylko odwieczny atawizm po rodzicach, zbiór suchych formułek i przepisów, które należy zachować i czynności, które należy wykonać.

Taką wiarę i taką religię łatwo zachwieje nie tylko świadek Jehowy, lecz każdy domorosły filozof. Ale wiara w Boga — Stwórcę wszechrzeczy, Źródło siły i inteligencji — i określony do Niego stosunek — to całkiem co innego znaczy.

Dlatego rozumni chrześcijanie nie liczą, że kosmonauci radzieccy, oddalając się od Ziemi kilkaset kilometrów, spotkają Boga lub jakieś karmelkowe niebo. Nie liczą na to, że Go zobaczą amerykańscy kosmonauci nawet pobłogosławieni przez papieża. A jednak zawsze w nieszczęściu i radości będziemy oczy podnosić ku niebu, bo na dole często jest rozpacz, beznadziejność i błoto. Będziemy oczy podnosić ku niebu i szukać siły i światła. Wolimy bowiem loty niż pełzanie.

Boga nie musimy szukać nad obłokami ani w kosmosie. Możemy Go znaleźć na ziemi w różnorodnych przejawach Jego działania. Tylko trzeba oczy otworzyć, myśleć i chcieć.

My Go widzimy w Jego działaniu od niemowlęctwa do zgonu. Widzimy Go w kolorycie rozkwieconej łąki, którego odtworzyć nie zdoła największy artysta. Widzimy w perłach rosy porannej i w promieniach wschodzącego słońca, które życie budzi. Widzimy Go w życiu najmniejszego ziarenka i w całej naturze. Widzimy Go w harmonii wszechświa-

Pierwszy kosmonauta radziecki Gagarin

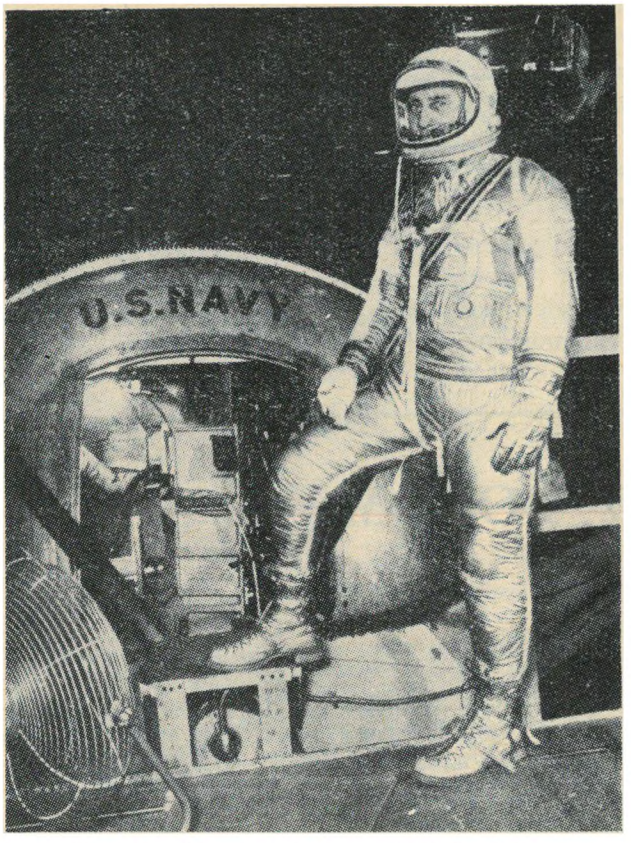

Pierwszy kosmonauta amerykański Shepard

ta i we współzależności rozwoju różnego życia na ziemi, a przede wszystkim widzimy Go w człowieku, w jego inteligencji i zdolności rozumowania, w które wśród wszystkich bytów jedynie on został wyposażony. Dlatego słuchają go najpotężniejsze zwierzęta, dlatego ujarzmia siły natury, podbija lądy i oceany i leci w przestworza. Dlatego nie mieszka w jaskiniach i lepiankach, lecz buduje wieżowce, nie jeździ na osiołku, lecz samochodem i lata odrzutowcem. Dlatego jest tak różny, że nie jest automatem kierowanym przez ślepe siły. Może być świętym i zbrodniarzem. Może być Januszem Korczakiem, ojcem Kolbe lub Eichmanem, może pełzać i latać, promieniować życiem, radością lub śmiercią i rozpaczą. Imię człowieka może brzmieć dumnie, może być też symbolem upodlenia i zniszczenia.

Nie sposób wytłumaczyć złożonego mechanizmu praw rządzących światem, wykluczając ponadnaturalną inteligencję. Nie sposób rzeczywistości materialnej, poznawalnej zmysłami wyjaśniać, ślepymi siłami i przypadkowymi prawami materii.

Świat nie jest teatrem kukiełek poruszanym mechanicznie, a jeżeli nawet tak jest — to też musi ktoś stać za kurtyną i cały mechanizm wprawiać w ruch.

I nieważne jak Go nazwiemy: Deus, Perkums czy Zeus gromowładny. Dla nas chrześcijan, którzy zaufaliśmy Chrystusowi, jest to Bóg i nie spotkamy Go widzialnego w laboratorium, kosmosie czy prosektorium. Ale wierzymy i wiemy, że jest, bo na każdym kroku oglądamy Jego działanie. Nawet w sercach tych, którzy pozornie w Niego nie wierzą.

A jeżeli jest On i jesteśmy my, to jest i coś, co nas łączy i co nas uzależnia od Niego. To przecież jakaś logiczna konieczność. I to właśnie jest religia, choć często tak różna, jak różny jest człowiek, jak różne jest jego widzenie i odczucie.

Ludzie tworzą Boga na obraz i podobieństwo własne, a jest ono bardzo różne: od starego pana z siwą brodą do ducha wszechświata.

Można religii nie uznawać, można jej nie dostrzegać, można jej dawać inną treść, tworzyć namiastki i utożsamiać błędy jej przedstawicieli i nadużycia, z jej istotą.

Ale ona jest jako zjawisko uczuciowe, społeczne i kulturalne, jako sytuacja wypływająca z istnienia Pierwszego Bytu i nas, bytów przejawiających się na ziemi w nieskończoność.

I tego wiedza ani geniusz ludzki nie zmieni. Będziemy wciąż tęsknić do ideału i gwiazd. Mamy w sobie cząstkę nieśmiertelności. Na ziemi mamy tylko tymczasowe zameldowanie.

Jezuita A. Tondi w swej książce p.t. „Jezuici w historii kryzysu jednego sumienia" przytacza jedną sumeryjską legendę. Pewien starożytny mędrzec całe swoje życie spędził w samotności na pustyni, na wschód od Babilonu. Wyrzekł się wszystkiego, co mogłoby rozpraszać jego uwagę. Zdobył bezcenną wiedzę o roślinach, zwierzętach, biegu gwiazd, o powietrzu, o chmurach, o wiatrach, wodzie, o wszystkim, co istnieje na ziemi. A gdy czuł, że kres życia się zbliża, nie chciał, aby jego wiedza poszła na marne. „Wziął więc na wychowanie dziecię o poważnej twarzy i głębokim spojrzeniu. Dziecię to kupił od pewnego plemienia koczowniczego, które przewędrowało w pobliżu jego groty. Był to przypadek, podobny do przypadkowego zderzenia dwu komet na bezkresnej przestrzeni nieba.

Chłopiec był mu posłuszny, uczył się i służył mu wiernie, a wreszcie pokochał go jak ojca. Z dziecka wyrósł młodzieniec.

Pewnego letniego wieczoru starzec jak zwykle opowiadał o biegu gwiazd, o metafizycznej istocie rzeczy, o rodzajach i gatunkach zwierząt i roślin. Dla zilustrowania swych słów dał młodzieńcowi kwiat, była to pachnąca przepiękna róża, zerwana z krzaka wyrosłego w pobliżu kryształowego źródła między dwiema skałami. Wspaniały ten kwiat w swych cielistych delikatnych płatkach posiadał urok wprost uwodzicielski i urzekający. Młodzieniec chłonął zapach kwiatu i przerwał starcowi: Ojcze — odezwał się z oczami utkwionymi w dal bezkresnej pustyni, gdzie linia horyzontu rozpływała się w nieskończoności — to czego nauczasz, jest trudne, aczkolwiek może głębokie, lecz w tej oto róży widzę i czuję najpiękniejszą i największą tajemnicę. Widzę

i czuję życie. Ojcze, powiedz mi co to jest życie? O tym nigdy nie mówiłeś. Czymże więc jest życie? Jaki jest jego sens? Jak powinienem żyć? Naucz mnie tego wszystkiego, ponieważ pragnę być szczęśliwy, czuję, że tu kryje się tajemnica szczęścia.

Starzec odrzekł: Miej cierpliwość. Twoje pytanie mnie zasmuca. Wprawiłeś mnie w zakłopotanie. Wiem bowiem wszystko, ale nie wiem, co to jest życie, nie wiem, co znaczy żyć.

— W takim razie — odparł młodzieniec— nic nie wiesz. Twoja wiedza jest próżna. Twoja wiedza jest złudzeniem. Muszę cię opuścić. Potrzebuję innego nauczyciela."

My wszyscy jesteśmy młodzieńcami, którzy opuszczają swoich profesorów. Dają nam bowiem wiedzę o życiu, ułatwiają je, ale nie dają odpowiedzi, czym jest życie, jaki jest jego sens, skąd wyszliśmy i dokąd idziemy. Wiedza bowiem nie może nam dać takiej odpowiedzi, a my jak ten młodzieniec pragniemy wiedzieć, skąd i dokąd idziemy i dlatego szukamy innego nauczyciela.

Naszym nauczycielem jest Chrystus. Zdobywszy wiedzę o świecie i zjawiskach, zwracamy się do Niego, aby odpowiedział nam na dręczące nas pytanie. I On daje nam odpowiedź, której wiedza dać nie potrafi.

Dlatego loty kosmiczne nie podważają naszej wiary i nie przeczą istnieniu Boga. Owszem umacniają ją. Loty kosmiczne nie są przeciwko Bogu. Są przeciw bogom ciemnoty, obskurantyzmu, zacofania. Chwalą intelekt człowieka, który jest słabym odbiciem Najwyższego Intelektu.

Daniel Barski

„PANIE NAUCZ NAS MODLIĆ SIĘ"

TEOFIL SPÖRRI

MODLITWA PAŃSKA

I. OJCZE NASZ, KTÓRY JESTES W NIEBIE

Modlitwa Pańska nie jest zwykłą modlitwą, jest to cała Ewangelia. Jej treścią jest przyjście Królestwa Bożego. Wskazuje nam dokładnie, w jaki sposób przychodzi do nas dziś Królestwo Boże. Tam, gdzie się modlą z głębokim przejęciem: „O j c z e n a s z", to przyjście staje się rzeczywistością. Tak poważna i potężna jest ta modlitwa.

Właściwie cała modlitwa mieści się już w jej początku: „Ojcze nasz, który jesteś w niebie". Kto to zrozumiał, zrozumiał już całość. To, co jest najdalej, łączy się z tym, co nam jest najbliższe: Niebo — i nasz Ojciec. Już jako dzieci próbowaliśmy sobie wyobrazić niebo — obłoki, złote drogi, skrzydlate anioły. Są to obrazy czegoś niezmiernie podniosłego i wspaniałego, przewyższającego nasze myśli i uczucia. Ale z tymi wyobrażeniami łączy się pewne niebezpieczeństwo: słodycz tych uczuć może nam zasłonić to, o co właściwie chodzi.

Można powiedzieć zupełnie prosto: niebo jest tam, gdzie rządzi Bóg, gdzie czyni się Jego wolę, gdzie panuje Jego miłość — niebo, to Królestwo Boże. Jest to coś zupełnie realnego, jest to przeciwieństwo ziemi, królestwa ludzi.

Niebo jest czymś innym, co nie podlega naszej władzy, gdzie nic nie znaczy nasza myśl i nasza wola, gdzie wszystkim jest Boża myśl i Boża wola.

„Bo myśli nie są myślami waszymi a drogi wasze nie są drogami moimi — brzmi wypowiedź Pana.— Lecz jak wyższe są niebiosa niż ziemia, tak przewyższają drogi moje drogi wasze a myśli moje myśli wasze." Gdy zaczynamy się modlić, przede wszystkim uczymy się spojrzeć w górę, my maleńcy, żyjący nisko, do Boga, tam wysoko.

I teraz powstaje pytanie: Jak może się zbliżyć jedno do drugiego, Królestwo Boże do naszego świata? Królestwo Boże przychodzi z góry, zaczyna się w niebie, a kończy na ziemi. To jest rzecz zasadnicza i nader poważna. Wszystkie religie świata idą w przeciwnym kierunku: z dołu w górę, z ziemi do nieba. To jest naturalna tendencja człowieka: chciałby się wznieść wyżej, ma z natury wysokie aspiracje. Ciągle zastanawia się nad tym, jakby się wznieść wyżej, ciągle porównuje siebie z innymi. Czy jestem wyższy od niego, czy on jest wyższy? I w stosunku do Boga chce się wznieść wyżej. Podejmuje rozpaczliwe próby, by dostać się własnym wysiłkiem do nieba. Najskrytszym marzeniem człowieka jest być równym Bogu. Najwznioślejsze i najpodlejsze czyny ludzkie wynikają z tego dążenia: prowadzi ono do najszlachetniejszego samodoskonalenia się, do najszczytniejszych osiągnięć, do bluźnierczego buntu, do krwawych gwałtów.

Z drugiej strony rozbrzmiewa zbawienna Ewangelia: „Pokutujcie", to znaczy zmieńcie kierunek waszej drogi: nie z dołu do góry, a przeciwnie, z góry na dół — bo przybliżyło się Królestwo Boże. To jest radosna nowina: że nie potrzebujemy z trudem piąć się pod górę, bo Bóg ze swej wysokości schodzi do nas. Bóg schodzi na naszą niską ziemię w postaci Chrystusa. To jest nowina wigilijna. A po Wielkim Piątku i dniu Zmartwychwstania nadchodzi Zesłanie Ducha Świętego, który jak potężny wiatr otwiera wszystkie drzwi i okna i wypędza uczniów z wieczornika na drogi. I do końca dni ziemskich kierunek pozostaje ten sam: „I widziałem niebo nowe i ziemię nową, i widziałem Miasto Święte, Nową Jerozolimę zstępującą z nieba od Boga, i słyszałem głos wielki z nieba, mówiący: Oto Przybytek Boży

wśród ludzi. I będzie mieszkał wśród nich i obetrze Bóg wszelką łzę z oczu ich, i nie będzie więcej śmierci."

Kto ma przed oczyma zasadniczy kierunek nadchodzącego Królestwa, ten wie, co to jest wiara. Jest to radosne przyjmowanie tego, co do nas z góry przychodzi. Wiara — to przyjmowanie tego, co nam Bóg darowuje, z łaski, bez zasługi z naszej strony, czym sami zarządzać nie możemy, czego sami mocno ująć nie potrafimy. Kierunek odwrotny — to czary, które są przeciwstawieniem wiary, wysiłkiem, by sobie przyswoić boskość, kupić za pieniądze Ducha Świętego, jak to próbował Szymon — czarownik, albo też zarobić na niebo dobrymi uczynkami, tak jak to ludzie próbują czynić po wsze czasy. Jak korzeniem czarodziejstwa jest zarozumiałość, samowola, tak korzeniem wiary, jest pokora, świadomość własnej znikomości i bezsilności.

A więc nie należy nic podejmować i czekać z pustymi rękoma? Broń Boże. Bo gdy ktoś zrozumiał, że wszystko pochodzi od Boga, wtedy też nagle zrozumie, co to znaczy, że nam wolno mówić „Ojcze Nasz". Bóg zbliżył się do nas jako Ojciec, a to znaczy innymi słowy, że jest miłością. Jest Ojcem nas wszystkich. Jego miłość sprawia, że jesteśmy wszyscy braćmi. I w ten sposób nasza wiara zamienia się w nas w czynną miłość.

Ale istnieje przeciwieństwo miłości: skąpstwo. Miłość daje, skąpstwo zabiera. Miłość ma otwarte serce, skąpstwo to zakamieniałość, zamknięcie się.

Miłość — to życie pełne poświęcenia, skąpstwo to trzymanie życia jak łupu. Największym wrogiem miłości jest chciwość, chęć posiadania. Dlaczego przywiązujemy się do tego, co posiadamy, do przedmiotów czy ludzi? Dlaczego nie możemy się od nich oderwać? Bo nie mamy wiary. Bo się boimy. Chcemy być pewni, że ich nie stracimy, że nam ich nikt nie zabierze. Posiadanie — to jedno z najbrzydszych wyrażeń. Posiadanie prowadzi do tego, że człowiek staje się niewolnikiem tego, co posiada. Chce się więc mieć coraz więcej, a im więcej się ma, tym większy jest strach, że się straci to, co się posiada. Z jednej strony miłość, wolność, radość życia, z drugiej: skąpstwo, chciwość, skrępowanie, strach, śmierć.

Z tych fałszywych więzów istnieje tylko jedno wyjście: trzeba uwolnić się od tego, co się kurczowo trzyma, aby móc przyjąć to, co nam chce dać Bóg.

Taką jest każda prawdziwa modlitwa: z ucisku i bojaźni tego świata spoglądamy w niezmierzone przestrzenie nieba i doświadczamy niepojętego cudu, że miłość Boża zstępuje do naszych serc i rozszerza je, tak że wszystko, co się w nich zacięło, znów się rozluźnia i ogarnia nas nowe życie, które nas łączy z wszystkimi braćmi, mówiącymi razem z nami:

OJCZE NASZ, KTÓRY JESTEŚ W NIEBIE

Dr JERZY ŚLIZIŃSKI

Z wyników ostatnich badań komeniologicznych

Chociaż już od dawna tłumaczono Komenskiego na język polski i interesowano się jego pracami, to wnikliwiej zaczęto się w Polsce zajmować jego twórczością dopiero w latach powojennych. Przypominam tu choćby wartościowe prace Łukasza Kurdybachy i Bogdana Suchodolskiego oraz skromne moje odkrycia, które pragnąłbym w skrócie zreferować.

Sądziłem, że nowe materiały dotyczące pobytu Komenskiego w Polsce oraz nieznane dotąd rękopisy twórcy nowoczesnej pedagogiki należałoby szukać w bibliotekach i archiwach dwóch miast — Gdańska, gdzie znajduje się również archiwum elbląskie, oraz Torunia, gdzie Komenský nieraz przebywał, gdzie odbył się w roku 1649 jego ślub z Joanną Gaiusową. Leszna nie brałem pod uwagę, gdyż całe archiwum Jednoty braci czeskich wywieziono przed wyzwoleniem miasta na zachód.

W Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Gdańsku natrafiłem tylko w papierach Innenkämmeramtu 1644—1645, tom III/114, zawierający rachunki miasta Elbląga, na ciekawą notatkę, naświetlającą dobitnie warunki materialne, w których znalazł się Komenský podczas swego pobytu w Elblągu, gdzie zajęty był m. in. pisaniem podręczników dla szkół szwedzkich. Otóż na stronie osiemdziesiątej tego tomu znajduje się zapis informujący, że Komenský został wysłany z ramienia miasta w sierpniu 1644 r. na synod do Orli, oraz że rada miejska kupiła mu w związku z tym nowe ubranie oraz kilka koszul.[1].

Bardziej owocne były moje poszukiwania w Toruniu. W Archiwum Toruńskim natrafiłem na liber amicorum Antoniego Baumgartena[2]*, mieszczanina toruńskiego, późniejszego długoletniego sekretarza rady, który niedługo po pożarze Leszna odwiedził Komenskiego w Groningen. Świadczy o tym nieznany dotąd autograf Komenskiego na fol. 198 tego pamiętnika: Seneca. Vita ostenda est, ut aliquid vita dignum efficiamus. Attentum existimo, Maxime sid nilum ter illis quos Antiquitas stirpis, et Maiorem Virtus ut generositatis vestigiis insistant obligat. Cuod ut Tibi stimulo sit Nobilissimus juvenis d. Baumgarten (...) pro talia adscribo Johan A. Comenius, Moravus in Groningae transitu 14/22 Aug. 1656.*[3]

Drugi, wcześniejszy autograf, pochodzący jeszcze z czasów jego pobytu w Elblągu, znalazłem w sztambuchu Petri Schönwaldt Strassburgens. Prussi w zbiorach Książnicy Miejskiej im. Kopernika w Toruniu.[4] *Sztambuch ten przejęty został przez Książnicę wraz ze zbiorami Biblioteki Gimnazjalnej w roku 1925. Tam to na fol. 71 ver. czytamy:*

Haec pauca industrio et Praestantissimo Domino Petro Schönwaldo in sui memoriam reliquit Joh. Amos Comenius.

Ab uno per unum ad unum Omnia!

Elbingae Anno 1646, 5 Junii[5]

Podobne hasło, tylko bardziej rozwinięte wpisał Komenský do pamiętnika późniejszego swego zięcia i następcy, Piotra Figulusa, gdy ten odwiedził go w październiku 1641 roku w Londynie.[6]

O ile chodzi o owego Piotra Schönwalda, któremu autor Orbis Pictus wpisał do liber amicorum wyżej cytowane słowa, to zdaje się być identyczny z toruńskim kaznodzieją Piotrem Schönwaldem, który, jak wynika z protokółów rady miejskiej w Toruniu[7], otrzymał wraz z kaznodzieją Müllerem napomnienie, aby w swych kazaniach nie występowali przeciwko Szwedom, którzy wtedy byli w Toruniu.

Jednym z najbogatszych archiwów, dotyczących Reformacji w Polsce, jest niewątpliwie archiwum Jednoty braci czeskich z Leszna Wielkopolskiego. Praktycznie biorąc nie było ono dotąd wykorzystane przez badaczy polskich. W latach 1881 — 1918 było wprawdzie zdeponowane w ówczesnym pruskim Archiwum Państowym w Poznaniu, lecz prawdopodobnie niedostępne dla Polaków. Dnia 26 listopada 1918 r. odebrała je niemiecka ewangelicka gmina wyznaniowa z Leszna i w dalszym ciągu archiwum to było dla Polaków niedostępne.

We wrześniu 1944 r. ówczesny pastor niemiecki Wolfgang Bickerich wywiózł archiwum Jednoty na zachód.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej fachowcy z różnych dziedzin nauki wszczęli bezskuteczne w rezultacie poszukiwania zaginionego archiwum. Przypuszczałem, że archiwum to może się znaleźć albo we Franckesche Stiftungen w Halle an der Saale lub w Archiwum Unitatis Fratrum w Herrnhucie. Podróż do Herrnhutu zaplanowałem już na rok 1957. Podróż ta, z przyczyn ode mnie niezależnych, nie doszła jednak do skutku. W czasie pobytu w Halle an der Saale w 1959 r. zapoznałem się ze zbiorami Franckesche Stiftungen. Nie znalazłem tam jednak śladu archiwum Jednoty. W czerwcu 1960 r. natomiast udało mi się odnaleźć archiwum Jednoty z Leszna w Herrnhucie, gdzie w Archiwum Unitatis Fratrum udostępnione mi zostało przez archiwariusza R. Trägera.

Podczas mego pobytu w Herrnhucie mogłem się przekonać, że tamtejsza gmina wyznaniowa nie uważała archiwum leszneńskiego, przechowanego w oddzielnych szafach i z osobnym inwentarzem, za swoją własność, lecz jedynie jako depozyt. Podkreślić chciałbym uprzejmość z jaką archiwariusz herrnhucki udostępnił mi całość archiwum. Zarówno on, jak i pierwszy dyrektor Unitatis Fratrum ks. E. Förster oświadczyli mi, że archiwum to gotowi są w każdej chwili zwrócić Polsce w drodze oficjalnej. Cytuję tu fragment protokółu zdawczo-odbiorczego, podpisanego w dniu 28 sierpnia 1961, odnoszącego się do moich pertraktacji z czerwca 1960 r. Im Juni 1960 kam Herr Dr Sliziński, Dozent für slavische Sprachen und Literatur an der Universität Warszawa, zu einem Besuch nach Herrnhut, um sich unter anderem auch über das Archiwum Unitatis zu informieren. Besprechungen zwischen Herrn Dr Śliziński, Herrn Unitätsdirektor E. Förster und Herrn Archivar Träger ergaben, dass die Direktion der Evang. Brüder-Unität in Deutschland, die dise Archiwalien stets nur als anvertrautes Gut behandelt hat, sich bereit erklärte, sie an die in der Volksrepublik Polen dazu berechtigte Stelle auszuhändigen, um eine wissenschaftliche Bearbeitung zu ermöglichen, vorausgesetzt, dass die Auslieferung auf einem offiziellen Wege durch die diplomatische Vertretung der Volksrepublik Polen in Berlin geschieht.

Zaraz po powrocie do Polski złożyłem odpowiedni wniosek o rewindykację archiwum leszniańskiego na ręce dyrektora IV Departamentu Ministerstwa Spraw Zagranicznych PRL. Poinformowałem o tym także sekretarza I Wydziału PAN oraz zainteresowane instytucje w Lesznie i Poznaniu. Wiosną 1961 roku otrzymałem wiadomość, że Rząd NRD wyraził zgodę na oddanie Polsce tego tak cennego archiwum, a termin jego przekazania ustalono na drugą połowę sierpnia 1961 roku.

Oficjalne przekazanie archiwum Jednoty braci czeskich z Leszna nastąpiło w Herrnhucie w dniu 29 sierpnia 1961 r. i w tym dniu jeszcze zbiory przekroczyły granicę polską w Zgorzelcu, aby powrócić na swoje dawne miejsce do Leszna. Ze strony polskiej podpisali protokół zdawczo-odbiorczy dr Czesław Skonowski, dyrektor Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Poznaniu oraz niżej podpisany. Ze strony niemieckiej ks. E. Förster, pierwszy dyrektor Unitatis herrnhuckiej.

Odzyskane w całości Archiwum Jednoty braci czeskich składa się z trzynastu działów: I—II, Źródła i materiały o charakterze ogólnym, wśród których są rękopisy w języku polskim od XVI do XVII w., dotyczące położenia dysydentów w Polsce, pisma polemiczne i supliki, diariusze sejmików i sejmowe itp. III, akta, dotyczące synodów w Polsce w latach 1595—1778, IV, akta dotuczące poszczególnych kościołów, duchownych i rodzin dysydenckich w Wielkopolsce. Wśród akt dotyczących Leszna znajdują się materiały związane z miejscową produkcją płótna i jego handlem w XVIII w. V, akta dotyczące kościołów na Pomorzu Gdańskim i w Prusach Książęcych. VI, akta dotyczące kościołów t.zw. „zagranicznych" (głównie bohemica, hungarica i silesiaca). W następnych działach znajdują się akta dotyczące budowy kościołów i kolekt na ten cel, miscellanea z całej Polski, dotyczące spraw politycznych i społecznych oraz poszczególnych rodów. Ponadto depozyt składał się z licznych starodruków, głównie komenianów, ze sprzętu liturgicznego, wśród którego zwraca uwagę wyjątkowo piękny kielich z r. 1564.

Natrafiłem na całą korespondencję Komenskiego, wykorzystaną już przez J. Kvačalę, na rękopis znanego, lecz niewydanego dotąd fragmentu utworu Clamores Eliae,[8] zawierający m.in. rozdział Evigilia Polonia, na Liber fundationum et donationum etc. in Bohemia, w którym na fol. 152 figuruje własnoręczna notatka Komenskiego z lutego 1670 r. o grobach jego rodziców i rodzeństwa w Uherskim Brodzie.[9] W paczce z napisem Briefe u. Akten verschiedener Herkunft. Ungeordnet, bzw. 1945 durcheinander geraten, odkryłem rękopis nieopublikowanego i nieznanego dotąd konceptu kazania Komenskiego,[10] napisany jego ręką. Kazanie to wygłosił Komenský na Synodzie w Lesznie (dokąd przybył z Elbląga) w dniu 19 kwietnia 1644 r. z okazji święcenia Dawida Prüfera na conseniora Jednoty. Koncept ten, zresztą stosunkowo trudno czytelny, nie figuruje ani w spisie Archivum Unitatis in Classes XIII dispositum, pochodzącym prawdopodobnie z

drugiej połowy XIX wieku, ani w przepisie, sporządzonym w r. 1918 przez W. Bickericha.

Z charakteru pisma widać wyraźnie, że koncept został napisany w pośpiechu. Wskazują na to m.in. skróty, o wiele liczniejsze niż w rękopisach, które Komenský pisał o wiele wolniej i czytelniej, z myślą o przygotowaniu ich do druku. Bardziej czytelnie napisane są również jego listy. Na ogół ortografia tego konceptu zgodna jest z ortografią tzw. „braterską", jednak zawiera ona pewne indywidualne cechy, charakterystyczne dla Komenskiego i niektórych innych pisarzy z tego okresu.

Odnalezienie tego konceptu kazania Komenskiego jest szczególnie ciekawe dlatego, że z ożywionej jego czterdziestoletniej działalności kaznodziejskiej do roku 1656 zachowało się tylko kilka nielicznych tekstów kazań, gdyż olbrzymia ich większość, które autor pieczołowicie przechowywał, spaliła się dnia 29 kwietnia przy pożarze Leszna.

Dobrze znana jest na ogół działalność Jana Amosa Komenskiego na terenie dawnego Siedmiogrodu a ciekawe, nowe szczegóły na ten temat zawarte są m.in. w artykule Béli Bákо pt. Chemarea lui Jan Amos Komensky in Transilvania si unele aspecte ale activitanii lui aici, zamieszczone w tomie zbiorowym pt. J. A. Komensky Comenius, wydanym w Bukareszcie w r. 1958 [11] z okazji 300-letniej rocznicy pierwszego wydania Opera Didactica Omnia.

Liczne są starodruki Comeniana w bibliotekach dawnej stolicy Siedmiogrodu, w Cluju: w założonej w 1872 r. Bibliotece Uniwersyteckiej, w dawnej bibliotece założonego w r. 1609 przez Gabriela Batorego Collegium Reformatum Claudiopolitanii, w bibliotece założonego w 1553 r. przez Dawida Ferenca Collegium Unitów, w księgozbiorze liceum rzymskokatolickiego [12] oraz w bibliotece Protestanckiego Instytutu Teologicznego. Większość tych druków jest znana, poza tym rejestruje prawie wszystkie książki, wydawane na terenie dawnych Węgier do r. 1711 K. Sábo w swojej bibliografii Régi Magyar Könywtár[13], późniejsze wydania zaś z większej części przytoczone są w Bibliographia Hungariae G. Petrika, Magyarországh bibliographiája 1712—1860, t I (Budapest, 1888) i w dodatku z r. 1892. Bibliografia romana-ungara A. Veressa (I—II, Bucuresti, 1931) nie uwzględnia natomiast żadnych książek Komenskiego, wydawanych na terenie Transylawanii.

Przeprowadzając wiosną 1962 r. badania w bibliotekach rumuńskich, natrafiłem w bibliotece Protestanckiego Instytutu Teologicznego w Cluju na egzemplarz londyńskego wydania Pamsophiae Prodromus [14] z roku 1639, gdzie odkryłem na karcie tytułowej własnoręczną dedykację Komenskiego, która brzmi: Hodie meus, cras tuus. Dono dabat — Joan: A. Comenius Amico et Frattri in Christo dilecto Joanni Zilizi Londini Anglorum A. D. 1642, 17 de Junii.

Napisana więc została owa dedykacja na kilka dni przed odjazdem Komenskiego z Londynu i stanowić może jeden z czynników, ułatwiających ustalenie dokładniejszej daty opuszczenia Anglii przez autora Didactica Magna. Data ta, według nowszych badań ustalona została na dzień 21 czerwca 1642.

Jak udało mi się stwierdzić, książka ta w okresie późniejszym była w posiadaniu rumuńskiego księdza ew. ref. Mihaila Halici, rektora szkoły w Orestie, który w swoim testamencie z roku 1674[15] księgozbiór swój przekazał bibliotece szkolnej w Orestie [16]. Wskutek różnych zatargów uczelnia otrzymała spadek po jej zmarłym rektorze dopiero w roku 1730[17]. Po likwidacji uczelni w roku 1828 książka ta wraz z innymi przekazana została bibliotece Protestanckiego Instytutu Teologicznego w Cluju. Ponadto odnalazłem w zbiorach dawnego Collegium Unitów w Cluju mocno uszkodzony egzemplarz rzadkiego druku J. A. Comenii Januae Lingvae Latinae Vestibulum Primum In Usum Illustris Paedagogii Albensis Ungarice Redditum Deinde Orthodoxarum in Hungaria Schalarum Usu Accomodatum. Cibinii. Typis Martini Hochmeister (wyd ok. 1800) [18].

Jak wiadomo wydał Abraham Kertesz Szenc w Warażdinie już w r. 1643 Janua Linguae Latinae Vestibulum, Primus In usum Illustries Paedagogei Albensis Hungarice redditum [19]. Jest to więc wydanie tego właśnie dzieła Komenskiego dla znanego szeroko w owych czasach, założonego w r. 1622 przez Gabriela Bethlena Collegium Bethlenianum w Alba Julia, zniszczonego w r. 1658 przez Turków a przeniesionego w tymże roku do Aiud, gdzie uczyli tacy pedagodzy, jak J. Alsted, H. Bisterfeld, L. Piscator, J. Apáczai i inni.[20] Niektórzy z nich byli, jak wiadomo, w bezpośrednim kontakcie z twórcą nowoczesnej pedagogiki.

Nadmieniać należy jeszcze, że słynne Collegium Ew. Ref. z Sarospatak przeniesione zostało w r. 1672 do Alba Julia, gdzie czynne było ono do roku 1716.

Udało mi się jednak stwierdzić, że wydanie Vestibulum Hochmeistera [21] nie było pierwszym drukiem tego dzieła Komenskiego, wydanego w Sibiu. Marcin Hochmeister sen. uczył się rzemiosła w swoim rodzinnym mieście u znanego drukarza Jana Bartha (zm. 1779). Już syn tegoż, Piotr Barth, wydał w Sibiu w r. 1784 J. Comenii Januae Lingvae Latinae Vestibulum Primim In Usum Illustris Paedagogii Albensis Ungarice redditum. Deinde Orthodoxarum in Hungaria Scholarum Usu accomodatum. Cibinii. Typis Petri Barth. Anno 1784. Egzemplarz tego nieznanego i nienotowanego nawet przez Urbańkoyą druku, odnalazłem w zbiorach Collegium Reformatum Maros Vásárhetyense (uczelnia założona została w roku 1557), które wchodzą dziś w skład Biblioteki im. Bolyai w Trgu Mures. Druk ten również nie figuruje w Bibliographia Hungariae G. Petrika. Tam notowano tylko Januae lingvarum reserata aurea vestibulum, que primus ad latinam aditus tyrunculs paratur. Cum versionex interlineari. germanica, hungarica et slavonica, Leutschoviae 1722. [23].

Nieznany egzemplarz Vestibulum Biblioteki im. Bolyai jest wyjątkowo dobrze zachowany. Był on przez długie lata własnością węgierskiej rodziny ziemiańskiej Koncz, osiadłej w Bezidzie, o czym świadczy zapis na wewnętrznej stronie okładki: Ezen Konyvet az Kimeg Kapja meltoztassek Bezedi Kontz Andrasnak Kezeben ad ni. (Ten, który znajdzie tę książkę, niech ją odda łaskawie Bezediemu Kontzowi). Ostatnim z posiadaczy książki w tej rodzinie był Józef Koncz (1928—1906), profesor historii kościelnej oraz bibliotekarz Collegium Reformatum w Targu Mures, którego historię opisał on w obszernym tomie.[24] On z kolei darował ten tom bibliotece swojej uczelni, z którą połączono już w r. 1718 Collegium Ew. Ref. z Sarospataku.

KOMENTARZ

1 Por. J. Sliziński, Z działalności literackiej braci czeskich w Polsce, Wrocław-Warszawa, 1959, s .136

2 syg. XII, 12

3 Por. J. Sliziński, Przyczynek do pobytu Pawła Stranskiego ze Zap w Toruniu, Slavia, XXVI, 1957, s 385-390

4 syg. R 8°. 12

5 Por. J. Sliziński, Autograf Jana Amosa Komenskiego w Książnicy Miejskiej im. Kopernika w Toruniu, Anchir Komenskiko, 1/57, s. 1-2

6 Por. J. Kvačala, Korespondence J. A. Komenského, II, 1902, 190n

7 Arch. Tor. syg. II, 5. str. 166

8 Por. J. Müller, Sborník historický, 1885, s 300, J. Kvačala, J. A. Comenius, sein Leben und seine Schriften, Berlin-Leipzig-Wien, 1892, s. 438, H. Dünnhaupt, Lissa in Polen, Lissa (Leszno) 1908, s 65, J. V. Novák i J. Hendrich Jan Amos Komenský, Jeho život a spisy, Praha, 1932, s 616, 663, 670, J. Slizinski, Z działalności literackiej... s 139-140

9 Por. M. Bohatcová, J. A. Komenský, Soupis rukopisů, Praha, 1957, nr 90 i J. Slizinski, Odnalezienie i rewindykacja archiwum Jednoty braci czeskich z Leszna Wlkp., Acta Comeniana, XXI, 1962, 1, s 77-80

10 Por. J. Slizinski, A. Skarka, Nieznany koncept kazania Janosa Amosa Komenskiego, Acta Comeniana, XXI, 1962, 1, s 3-11

11 s 111-124

12 Trzy te biblioteki stanowią teraz własność Rumuńskiej Akademii Nauk

13 Budapest, I-II-1879, 1885

14 Zapis ten nie figuruje w Soupisie rukopisů Bohatcovej

15 Testament ten ogłosił in extenso L. Musnai w artykule Uj adátok Halici Mihály életéhez és hagyatékához. Nyelv-es Irodalmtudományi Közlemények, Cluj, IV, 1960, nr 1-2, s 57-81

16 Pansofiae Prodromus figuruje w testamencie jako pozycja 48

17 Na karcie tytułowej tego egzemplarza figuruje zapis: Scholae Saxopolitanae ab 1730

18 syg V, 1449. Por. Soupis děl J. A. Komenského v československých knihovnách, archívech a museích. Sestavila komise pro soupis děl J. A. Komenského, Praha, 1959, nr 842. Por. również katalog Hochmeistera z r. 1834 pt. Magyar konyvekmellyek Hochmeister Márton Könyves Bóltjában N. Szebenben, s 27

19 Por. K. Szábo, I, poz. 748. Szábo przytacza trzy egzemplarze tej książki, przechowywane na terenie dawnych Węgier, przy czym zachowany do dziś egzemplarz w bilbiotece Collegium Reformatum w Cluju ma sygnaturę RMK 429. Por. również Urbánková, op. cit. nr 814

20 O tej uczelni obszerniej por. m.in. K.P. Szathmáry, A. Gynlafehérvár-Nagyenyedi Bethlen-Főtanoda története, Nagy-Enyed, 1868

21 Marcin Hochmeister sen. (1740-1789) założył w r. 1777 drukarnię w Sibiu. Drukarnię tę przejął po jego śmierci jego syn Marcin Hochmeister jun.

22 syg. 10263

23 Petrik Géza, Magyarország Bibliographiája, 1712-1860, I, Budapest, 1888, s 432, Por. również Urbánková, op. cit. nr 835

24 A Marosvásárhelyi Ev. Ref. Kollegium története, Marosvásarhelytt, 1896

NOWE ŻYCIE DLA JUSUFA

Szczęśliwego Nowego Roku Jusufie Tahari! Nie życzyliśmy tobie szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia, bo wiemy, że nie jesteś chrześcijaninem, ale jesteśmy pewni, że rok 1963 będzie miał dla ciebie wielkie znaczenie.

Rok 1963 dla Jusufa Tahari i dla 1500 innych mahometan mieszkających z nim w irańskiej wiosce Esmatabad może być początkiem nowej ery. Stara epoka ciągnąca się przez setki, jeżeli nie przez tysiące lat skończyła się nagle i dramatycznie dnia 1 września 1962 r., kiedy to 95 procent Esmatabadu zostało rozerwane na strzępy przez straszliwe trzęsienie ziemi. Esmatabad był jedną ze 180 wiosek rozrzuconych na przestrzeni 300 km^2 i zniszczonych w ciągu niespełna jednej minuty. Dla 11.300 ludzi był to koniec ziemskiego życia; dla 20.000 — koniec ich domostw, a dla 1.500 ocalałych w Emstabadzie był to początek końca ubóstwa, głodu i pańszczyzny, jakie dotąd jeszcze są udziałem większości wieśniaków perskich.

Esmatabad, to wioska budowana od nowa przez Perską Radę Chrześcijańską, dzięki środkom dostarczonym przez Oddział Pomocy Międzykościelnej Światowej Rady Kościołów.

Budowa ta ma być wyrazem chrześcijańskiego świadectwa i służby. Ale ma ona zademonstrować coś więcej niż tylko umiejętność posługiwania się cegłą i wapnem, ma być dowodem czegoś bardziej podstawowego niż zwykła życzliwość chrześcijan dla ludzi z odległych krajów. Ta wioska ma być bowiem wyrazem troski Kościołów chrześcijańskich o ludzkość.

Jeżeli na nas spoczywałby tylko obowiązek zbudowania wioski, to wystarczyłoby wypisanie czeku i następnie wręczenie go przedsiębiorcy budowlanemu.

Lecz misją Kościołów jest służba. I właśnie sposób pełnienia naszej służby odróżnia Kościół Chrześcijański, jego misje i Pomoc Międzykościelną od innej działalności dobroczynnej. Esmatabad byłby tylko jałmużną, gdyby po jego odbudowaniu pozostawiono mieszkańców tej wioski w stanie zacofania, z wszystkimi obciążeniami przeszłości, które przez całe pokolenia utrzymywały ich w ubóstwie połączonym z chronicznymi epidemiami.

Tak więc budowa Esmatabadu nie będzie oznaczać tylko zwrócenia jego mieszkańcom tego co stracili, ale da im prawo i możliwości jakich dotychczas jeszcze nie mieli i pomoże stać się pełnoprawnymi ludźmi.

ŻYCIE W PERSKIEJ WIOSCE

W przeciętnej perskiej wiosce 70 procent zysków z całej produkcji rolnej chłopów wpada do kieszeni obszarników. Zadłużenia spłacają chłopi po żniwach. Wtedy np. dany wieśniak otrzymuje 600 kg pszenicy, którą natychmiast sprzedaje, by spłacić długi w sklepie wioskowym. Nie pozostaje mu nic, więc i znów w na-

stępnym roku musi pracować dla właściciela ziemskiego, żyjąc na kredyt.

Jego dom stanowi własność obszarnika. Wiele rodzin nie ma w swych dwuizbowych domach nic więcej poza kilkoma derami do przykrywania się i matami na podłogę oraz fotografią szacha. Reszta ich majątku znajduje się na zewnątrz. Jest to krowa i para owiec, które obszarnik pozwala paść na swych łąkach w zamian za dostarczanie nawozu.

Strumień wioskowy, albo woda sprowadzana z gór podziemnymi kanałami, wykopanymi przez wieśniaków, służy do wszystkiego — do kąpieli, prania, gotowania i picia. Nie ma tu lekarza, a najbliższy szpital jest odległy o przeszło dzień drogi. Około jedna piąta dzieci cierpi na jaglicę. Przeciętna rodzina, w takiej wiosce jak Esmatabad, składa się z męża, żony i trojga dzieci; niewielu mężczyzn może pozwolić sobie na małżeństwo poligamiczne dozwolone przez prawo islamu.

Taka sytuacja panowała w tych zbiorowiskach ludzkich (uważana za względnie dostatnią) — które zniszczyło wrześniowe trzęsienie ziemi. Decyzja Kościołów o kompletnym odbudowaniu nowej wioski pociągnęła za sobą obowiązek zbudowania nowego życia dla wieśniaków.

Pierwsza reforma przyszła nadspodziewanie łatwo, kiedy miejscowi właściciele ziemscy dali bezpłatnie grunt na budowę wioski. Utworzyła się rada wioskowa, która wzięła ziemię w posiadanie i z tą chwilą 1500 mieszkańców Esmatabadu, całkiem nie zdając sobie z tego sprawy, zrobiło pierwszy krok w kierunku utworzenia lokalnego samorządu.

W porozumieniu z tym nowym organem, Perska Rada Chrześcijańska nakreśliła plany wioski. Domy mają być zbudowane z prefabrykowanych bloków cementowych, wzmocnionych wewnętrznymi ramami na poziomie gruntu i dachu, a to w celu zabezpieczenia na wypadek wstrząsów podziemnych, na które Iran jest stale narażony.

W wiosce ma powstać szkoła, apteka, meczet (z funduszy mahometańskich), ośrodek społeczny i studnia, z której woda będzie pompowana mechanicznie do nowozbudowanych zbiorników i odprowadzana do publicznej łaźni i publicznej pralni. Woda ma być także doprowadzona d oinstalacji wodociągowej, obsługującej każdy blok domów i poidła dla zwierząt.

RODZĄ SIĘ NOWE POMYSŁY

Gdy rozpoczęły się te wszystkie prace zabrano się także do równie ważnego problemu, mianowicie do taktownego rozbudzenia u konserwatywnych wieśniaków całkiem nowej koncepcji życia społecznego. Rozbudzenie świadomości własnych możliwości i odpowiedzialności, to praca wymagająca wielkiej umiejętności, i należało ją powierzyć komuś, kto mógłby się zżyć z tymi ludźmi i zaskarbić sobie ich zaufanie i szacunek.

Taki człowiek musiał być Irańczykiem. Musiał mieć doświadczenie jak rozwijać społeczność ludzką. Musiał być ekspertem w sprawach przemysłu i rolnictwa, ponieważ kluczem projektu miało być założenie spółdzielni rolniczej, dzięki której miały się powiększyć zarobki każdej rodziny, i w konsekwencji podnieść poziom życia. Musiał to być chrześcijanin, bo miał on być nie tylko przedstawicielem Perskiej Rady Chrześcijańskiej, ale także wszystkich Kościołów i ludzi, którzy za pośrednictwem Pomocy Międzykościelnej umożliwili realizację projektu. Miał on być uosobieniem chrześcijańskiej służby.

Pierwszy człowiek wybrany na to stanowisko zmarł tragicznie, gdy jego ciężarówka wywróciła się na drodze pomiędzy Teheranem a Esmatabadem. Ale znalazł się jego następca, który już jest wśród mieszkańców wioski kończących budowę pierwszych 50 domów.

A Jusuf Tahari? Ten wraz z żoną i maleńkim synkiem czeka na nowy dom, który pomaga budować i do którego wkrótce się wprowadzi. Nowy Rok, dla niego będzie oznaczał trochę więcej pożywienia albo — jak to teraz określą — „Wolność od głodu".

H. SAMSON
WCC Information
Tł. Z.P.

SADHU SUNDAR SINGH MÓWI:

„Pewnego dnia siedziałem u stóp Himalajów nad brzegiem rzeki. Wyciągnąłem z wody piękny, okrągły i twardy kamień i rozbiłem go. Wnętrze kamienia było całkiem suche. Kamień długo leżał w wodzie, lecz woda nie przeniknęła do środka.

Podobnie jest z ludźmi w Europie. Całe stulecia żyją w atmosferze chrystianizmu, ale chrystianizm nie wniknął do ich wnętrza i nie żyje w nich".

Ks. KAROL KOTULA

Ukryta światłość objawiona

(Mat. 17, 1-9; Łuk. 9, 28-36)

1. BŁOGOSŁAWIONE CHWILE DUCHOWYCH UNIESIEŃ

Błogosławione to chwile, kiedy dusza poderwana duchem oderwie się niejako od ciała i wzniesie się ponad szarzyznę dnia powszedniego i porzuciwszy rozgwar otaczającego świata, wzbije się w podniebne sfery i z dala od trosk, kłopotów, walk i cierpień powszedniego życia, odetchnie orzeźwiającym powiewem wieczności. Błogosławione chwile, kiedy człowiek z tych wyżyn rozszerzających horyzonty spojrzy na świat z jego codziennymi sprawami i pospolitymi dążeniami i zmartwieniami, i na swoje pełne przyziemnej krzątaniny życie, i kiedy mu, jak otaczającą go krainę, zniknie to, co małe, a tym więcej wystąpi to, co jest wysokie i wielkie. Błogosławione chwile takich duchowych wzlotów, kiedy teraźniejszość ze wszystkim, co zdaje się wielkie, trwałe i niezbędne, maleje wobec piętrzących się wielkich wydarzeń przeszłości i wyczuwanego, zmieniającego postać świata biegu przyszłości.

Mieli takie wzloty duszy ludzie Królestwa Bożego, mieli je prorocy ludu izraelskiego, mieli apostołowie i święci chrześcijańskiego Kościoła. Czasem przybierały te wzloty postać wielkich zachwyceń i wizji, rzucających jasne światło na przeszłość i objawiających wyłaniające się z przyszłości wielkie wydarzenia. W takim zachwyceniu oglądał prorok Izajasz chwałę trzykroć Świętego Boga i został powołany na proroka, w takich zachwyceniach widział prorok Ezechiel, będący w niewoli, co się działo w dalekiej Jerozolimie, i jej najbliższe losy, w takich wizjach oglądał Daniel bliższą i dalszą przyszłość. Takie zachwycenie miał apostoł Piotr w Joppie, co spowodowało, że Ewangelia Jezusa Chrystusa zaczęła być głoszona poganom, takim zachwyceniem olśniony i oślepiony został Saul pod Damaszkiem i powołany potem na apostoła pogan, w takim zachwyceniu napisał apostoł Jan na wyspie Patmos swoje Objawienie.

Takie wzloty i zachwycenia nie są rzeczą każdego człowieka, lecz udziałem ludzi wybranych. Dlatego Jezus wziął na górę przemienienia tylko trzech najbliższych Sobie uczniów. Ale w pewnej mierze są takie wzloty i uniesienia duszy dostępne każdemu wierzącemu, czy to w nabożeństwie, czy w chwilach ciszy niedzielnego lub świątecznego popołudnia, czy wieczornego odpocznienia. Kto tego nigdy nie doznał i nigdy nic z tego nie przeżył, ten chyba nie wie, co to jest religia, co to jest wiara. Nie są także takie wzloty duszy, takie uniesienia rzeczą każdego dnia, są one jak wielkie święta w roku lub jak oazy w podróży przez pustynię.

Również nie są takie święte, wzniosłe chwile nadzwyczajnych przeżyć i objawień czymś trwałym, czymś, co nam stale ma towarzyszyć w naszej ziemskiej pielgrzymce. Są one tylko chwilami pokrzepienia, światłami oświecającymi czasowo drogę naszego życia i powołania. Uczniowie Pańscy czuli się tak dobrze na górze przemienienia, że Piotr rzekł: „Panie, dobrze nam tu być, jeśli chcesz zrobimy tu trzy namioty, Tobie jeden i Mojżeszowi jeden i Elijaszowi jeden". Jakże pragnęliby, żeby te chwile nadziemskich objawień, niebiańskiego szczęścia trwały na zawsze! Lecz ledwie to powiedział, nadpłynął obłok i zasłonił widzenie, tak że za chwilę znaleźli się sami z Jezusem. Cudowna chwila przemienienia Pańskiego minęła i trzeba było wracać do codziennej pracy, trudu i boju. Droga z góry Tabor prowadziła do Getsemane i na Golgotę. Więc i my nie chciejmy na górze Tabor budować sobie namiotów, lecz dziękujmy Panu za nadzwyczajne chwile pokrzepienia i światła i idźmy pokornie i posłusznie do codziennej pracy i trudów swego powołania.

2. PRZEMIENIENIE NIE PAŃSKIE

O takiej błogosławionej chwili w życiu Jezusa i Jego uczniów opowiada nam historia przemienienia Pańskiego na górze Tabor. Było to w czasie, kiedy Jezus, ukończywszy działalność Swoją w Galilei, był już w drodze do Jerozolimy, gdzie miał być pojmany i ukrzyżowany. Ewangelista Łukasz opowiada, że wydarzenie to nastąpiło w nocy, kiedy Jezus modlił się w ciszy na górze w obecności trzech tylko wybranych uczniów.

Jezus miał w Sobie niezwykłą wewnętrzną światłość, która z Niego, zwłaszcza w szczególnych momentach, promieniowała z nadzwyczajną mocą. Nie na darmo rzekł Jezus o Sobie: „Jam jest światłość świata". Światłość ta zwykle ukryta jaśniała czasem niezwykłym blaskiem. Objawiała się ona w Jego przecudnych mowach i słowach, którymi słuchacze byli oczarowani. Wyczuwali oni, że tu przemawia do nich nie człowiek, nie uczony w Piśmie, lecz Boży Syn szczególnym przez Boga obdarzony

pełnomocnictwem. Po jego kazaniu na górze powiedziane jest, że „zdumiewał się lud nad nauką Jego, albowiem uczył ich jako moc mający, a nie jak uczeni w Piśmie" (Mat. 7, 28-29). Innym razem mówił lud: „Cóż to za nowa nauka, że podług swej władzy nawet duchom nieczystym rozkazuje i są mu posłuszne" (Mk 1, 27). Po jednym z Jego kazań zawołała pewna niewiasta w uniesieniu: „Błogosławiony żywot, który cię nosił, i piersi, któreś ssał" (Łuk. 11, 27). Słudzy kapłanów, którzy otrzymali polecenie pojmania Jezusa, rzekli: „Nigdy tak nie mówił człowiek, jak ten człowiek". (Jan 7, 46) A Szymon Piotr wyznał o Nim: „Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa żywota wiecznego" (Jan, 6, 68).

Podobnie przeświecała Jego wewnętrzna światłość przez Jego niepospolite czyny. Wyczuwał to lud, gdy po wzbudzeniu z martwych młodzieńca z Nim, rzekł: „Prorok wielki powstał między nami i Bóg nawiedził lud Swój" (Łuk. 7, 16). Wyczuwali uczniowie, gdy do nich płynących łodzią przyszedł po morzu i gdy rzekli: „Zaprawdę jesteś Syn Boży" (Mat. 14, 33). Urzeczony tą Jego wewnętrzną, objawiającą się czasem chwałą chciał lud po nakarmieniu 5000 ludzi ogłosić Go królem, rozumiejąc, że z Nim przyszedł na świat obiecany Mesjasz (Jan 6, 14-15).

Światłość wewnętrzna i wewnętrzna chwała nie może się ukryć, choćby przyodziana była najskromniejszą szatą; ona przeświecać będzie zawsze i wszędzie. „Wy jesteście światłością świata; nie może się miasto ukryć na górze leżące" — powiedział Jezus do uczniów. (Mat. 5, 14) Światło słońca działa nawet w dni pochmurne i promienie jego rozchodzą się nawet, tam, gdzie wprost nie dochodzą. Słonecznik obraca się ze słońcem tak samo, gdy niebo jest zachmurzone, jak gdy jest czyste i jasne. Toteż wewnętrzna światłość Jezusa przeświecała i przez Jego codzienne życie i działanie.

Wszystkie te promienie wewnętrznej światłości, które dotychczas tylko częściowo z postaci Jezusa przeświecały, zabłysły razem jak jasne słońce w chwili Jego przemienienia na górze. Ewangeliści opowiadają, że nie tylko oblicze Jego zajaśniało nadziemską światłością ale i szaty Jego zaczęły świecić niezwykłym blaskiem. W ten sposób On, który dotychczas chodził w postaci śmiertelnego człowieka i sługi, nagle zrzucił tę postać i objawił się w całym majestacie jako Syn Boży i Zbawiciel.

A jak gdyby dla dodania temu niezwykłemu widzeniu blasku, stanęli obok Jezusa Mojżesz i Eliasz, dwie wielkie postacie Starego Testamentu, obie w obietnicach i przepowiedniach złączone z Jego powołaniem. Bo do postaci Mojżesza przywiązana była obietnica: „Proroka im wzbudzę z pośrodku braci ich. jakoś ty jest, i włożę słowa Moje w usta jego" (5 Mojż. 18, 18), a do postaci Eliasza proroctwo: „Oto Ja wam poślę Eliasza proroka, pierwej niż przyjdzie on wielki i straszny dzień Pański" (Mal. 4, 5). Posłani przez Boga w tej wielkiej chwili przedstawiciele tamtego świata rozmawiali z Jezusem, jak mówi ewangelista Łukasz, „o Jego zejściu, które się miało spełnić w Jerozolimie" (Łuk. 9, 31). Zaiste wielki i święty jest konwent Starego i Nowego Testamentu, przedstawicieli starego Przymierza z Jezusem, który był i jest spełnieniem i końcem zakonu i w którym wszystkie obietnice Boże znajdują swoje Tak i Amen. A dla tym większego podkreślenia znaczenia tej chwili i uwielbienia tego, który szedł do Jerozolimy, by tam życie Swoje złożyć w ofierze, dał się słyszeć głos z nieba: „Ten jest Syn Mój miły, w którym Mi się upodobało, Jego słuchajcie". Tak zanim jeszcze nastąpiło Jego wywyższenie przez zmartwychwstanie i wniebowstąpienie, dokonała się zapowiedź Jego uwielbienia, o które potem prosił: „Ojcze, przyszła godzina, uwielbij Syna Swego, aby i Syn Twój uwielbił Ciebie" (Jan 17, 1).

Przemienienie Pańskie miało swój wyraźny cel. Najpierw miało ono samego Pana wzmocnić i uzbroić na ciężkiej drodze, która była przed Nim. Jakże boskim a równocześnie ludzkim staje Jezus przed nami w tej chwili: i On, Boży Syn, potrzebował wzmocnienia i pokrzepienia. W przemienieniu na górze dostąpił tego w nadzwyczajnej mierze. Możemy sobie wyobrazić, z jakim majestatycznym spokojem i świętą radością zstępował Jezus z góry przemienienia.

Ale także dla uczniów miało to przeżycie wielkie znaczenie. Miało ich ono utwierdzić w wierze w Niego, aby nie zwątpili, gdy będą widzieli Jego największe poniżenie. I rzeczywiście chwila przeżyta na górze Tabor była dla nich chwilą niezapomnianą. Kiedyś, po latach, wyznawać będą: „Co było na początku, cośmy słyszeli, cośmy oczyma naszymi widzieli, i na cośmy patrzyli i czego się ręce nasze dotykały, o Słowie żywota; to wam zwiastujemy". (1 Jana 1, 1-3). A na innym miejscu powie apostoł Jan po latach: „Widzieliśmy chwałę Jego, chwałę jako jednorodzonego od Ojca" (Jan 1, 14). A apostoł Piotr wspominać będzie z przejęciem: „Bo nie za zręcznie wymyślonymi basniami idąc, uczyniliśm wam wiadomymi moc i przyjście Pana naszego Jezusa Chrystusa, lecz jako naoczni świadkowie Jego wielkości. Wziął bowiem od Boga Ojca cześć i chwałę, gdy Mu od wspaniałej chwały był przyniesiony głos taki: Ten jest Syn Mój miły, w którym Mi się upodobało" (2 Piotra 1, 16-17).

3. NASZE PRZEMIENIENIE

W cudownym zachwyceniu oglądali trzej wybrani uczniowie przemienienie i uwielbienie swego Pana. Może z uczuciem zazdrości powiemy, jak niegdyś Ezaw, brat Jakuba: „Czy dla nas, Panie, nie masz wcale błogosławieństwa, czy ono jest tylko dla wybranych?" A jednak nie tylko wybranym uczniom i innym wielkim w Królestwie Niebieskim jest dane przeżywać

chwilę zachwyceń i oglądania uwielbienia Jezusa Chrystusa. Coś z tego możemy przeżywać i my, prości i skromni Jego wyznawcy. I nam udziela Pan łaski oglądania Swej chwały, kiedy się wsłuchamy lub wczytamy w Jego przecudne, niebieskim powiewem tchnące, słowa lub kiedy okiem ducha oglądamy Jego przedziwne czyny, dokonywane w krainie galilejskiej lub towarzyszymy Mu na górę Golgoty, gdzipe złożył życie Swoje w ofierze, lub do grobu Józefa z Arymatei, gdzie był złożony o wstał z martwych. A wtedy i my możemy doznać chwil uniesień, daleko ponad czas i przestrzeń, i widzieć coś z tej chwały, do której wszedł już nasz Pan i która wiernym jest zgotowana. Wtedy z uniesieniem śpiewamy razem z pieśniarzem:

Jak pięknie nam jutrzenka lśni
Odblaskiem wiecznej Bożej czci,
Jak cudnie nam jaśnieje!
Gałązko Ty z Jessego pnia,
Dawidów Synu, chlubo ma,
Wypełniasz me nadzieje!
Jasny, Krasny,
Jesteś wiecznie I serdecznie
Uwielbiony,
Nad niebiosa wywyższony!

Lecz przemienienie Pańskie ma jeszcze inne znaczenie dla nas. Nie tylko dla Samego Pana i Jego najbliższych uczniów ono się stało, lecz także dla nas, abyśmy i my przez wiarę w Niego i życie w Nim byli przemienieni, aby Chrystus przybrał w nas postać, tak żeby ona przeświecała przez całe nasze jestestwo i nasze życie. Cyż nie prześwieca czasem jasność wychoodząca od wewnątrz przez oblicze i postać człowieka trwającego w modlitwie? Czyż nie jaśnieje czasem nieziemskim blaskiem oblicze człowieka wsłuchanego w przecudne prawdy Ewangelii? Czyż zwiastowanie o narodzeniu Pańskim, o śmierci na Golgocie, o zmartwychwstaniu nie wznieca w sercach odmiany, która i na zewnątrz prześwieca przez cielesne jestestwo człowieka? Jaśniało oblicze Mojżesza, kiedy po rozmowie z Bogiem zstępował z góry do swego ludu. Jaśniało oblicze Szczepana, jakby oblicze anielskie, kiedy stał przed Najwyższą Radą i składał swoje świadectwo. Tak i my przez wiarę w Jezusa Chrystusa przepromienieni jaśnieć będziemy, choćby tylko w szczególnych chwilach duchowych uniesień, aż kiedyś i w nas spełni się Jego obietnica, że „sprawiedliwi lśnić się będą jak słońce w Królestwie Ojca Mego" (Mat. 13, 43).

O Jezu, ukryty duszy naszych żywocie,
Co blaskiem Swym zdobisz wewnętrzny nasz świat!
Choć trudno nam grzesznym dorównać w Twej cnocie,
Daj w stóp Twoich Boskich wstępować nam ślad.
Niech dziś zniesławieni, w przyszłości uznani,
Tu z Ojcem w Chrystusie przetrwamy kryjomie,
By potem do nieba z Nim wstąpić widocznie.

O SZATACH LITURGICZNYCH

Wiele nieścisłości a nawet fałszywych poglądów pokutuje wśród ewangelików o pochodzeniu naszych szat liturgicznych, jeżeli w ogóle o takich w Kościele ewangelickim mówić można. W pracy Artura v. Machui pt. „Titel — Anreden — Ränge" (wyd. w Heidelberg - München) znajdujemy garść szczegółów, które brzmią dość interesująco. Oto one:

„Urzędowy strój duchownych ewangelickich miał w pierwszych dziesiątkach lat Reformacji swój zmienny rozwój. Zwingliusz określił strój liturgiczny kapłanów rzymskokatolickich po prostu jako „zły". Luter natomiast uważał go za coś „drugorzędnego". W Wittenberdze zadomowiła się już od r. 1524 czarna szuba, skrojona na wzór włoskiej giubba, praktycznie więc nic innego tylko tradycyjny świecki strój uczonych humanistów owych czasów. W końcu 16 wieku szuba wdziewana przy oficjalnych wystąpieniach duchownych ewangelickich została uzupełniona krezą białą (spotykaną do dziś w Danii i północnych Niemczech — przyp. mój).

Szuba w międzyczasie rozwinęła się w podwójną szatę, na którą składała się ściśle przylegająca i aż do stóp sięgająca spodnia szata tzw. summar z narzucanym na to płaszczem. W niektórych kościołach krajowych zaczęto przy sprawowaniu czynności kościelnych nakładać na togę krótką, białą komżę tzw. albę, co jeszcze dziś tu i tam jest w zwyczaju.

Poza czynnościami kościelnymi w ściślejszym tego słowa znaczeniu, przy uroczystych publicznych wystąpieniach przyjęło się zakładanie tzw. befek (holenderskie befje oznacza mały kołnierzyk lub tzw. szwedzki kołnierzyk). Poza tym zadomowił się podobny do katolickiego stroju kapłańskiego „surdut Lutrowy" (Lutherrock), jakiego Luter nigdy nie nosił.

Ostatecznie w r. 1811 wprowadzono w Prusach na drodze cesarskiego zarządzenia sutą togę z szerokimi rękawami.

Później w ciągu 19 wieku przyjął się wśród duchownych ewangelickich podobny do katolickiego biretu kapłańskiego **czarny biret,** noszony jednakże tylko w obrębie kościoła i przy publicznych uroczystych okolicznościach".

Powyższe dane odnoszą się do Niemiec. Ale nie jest tajemnicą, że czarna toga z szerokimi rękawami w 19 wieku zadomowiła się w Polsce i w wielu innych krajach, ale nie wszędzie. Są kraje, gdzie Kościoły ewangelickie pielęgnują swoje własne narodowe stroje liturgiczne, od najprostszych do najbardziej barwnych i bogatych. (r)

WITOLD BENEDYKTOWICZ

STULECIE SZKOŁY GŁÓWNEJ

25 listopada 1862 r. odbyła się uroczysta inauguracja wszechnicy warszawskiej, spadkobierczyni tradycji Uniwersytetu Warszawskiego, zamkniętego po upadku powstania listopadowego. Zakład ten, powołany do życia na podstawie ustawy o wychowaniu publicznym w Królestwie Polskim, z 20 maja 1862 r., otrzymał nazwę Szkoły Głównej Warszawskiej. Nadanie takiej nazwy było wynikiem taktyki jej inicjatorów, należących do grona bliskich współpracowników margrabiego Wielopolskiego. Największy wkład do projektu ustawy o wychowaniu wniósł pisarz i dramaturg Józef Korzeniowski, w owym czasie dyrektor Wydziału Oświecenia w Komisji Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Trudności, jakie trzeba było pokonać dla powołania tej uczelni, były niemałe. Przede wszystkim należało zwalczyć opory administracji rosyjskiej w Królestwie, reprezentowanej przez namiestnika Gorczakowa. Głównym oponentem inicjatywy utworzenia uniwersytetu w Warszawie był Paweł Muchanow, dyrektor Komisji Spraw Wewnętrznych i kurator Okręgu Szkolnego Warszawskiego. Znane jest jego powiedzenie, że jeśliby się miało otworzyć uniwersytet w Warszawie, to należałoby zbudować drugą cytadelę. Młodzież akademicka była w Rosji tradycyjnie uważana za element rewolucyjny. Studentom warszawskim pamiętano udział w Nocy Listopadowej. Przecież to grupa cywilnych spiskowców, przeważnie akademików, uderzyła wtedy na Belweder. Czyż mógł tego nie pamiętać Paweł Muchanow, który w r. 1831 był adiutantem Dybicza?

Nazwa „Szkoła Główna" była koncesją wobec reakcyjnych dygnitarzy; z drugiej strony — mogła wywoływać pewne skojarzenia z tradycjami Komisji Edukacji Narodowej, która uniwersytetom w Krakowie i w Wilnie nadała nie tylko tytuł szkół głównych, ale i statut najwyższych i zwierzchnich uczelni w Koronie i Wielkim Księstwie Litewskim. Tradycje te miały wielki ładunek treści historycznych i emocjonalnych.

Życie umysłowe Królestwa Polskiego, po zamknięciu Uniwersytetu Warszawskiego w 1831/2 r., było nader zubożone. Wyższych uczelni nie było. Istniejące w latach czterdziestych Kursy Prawa, przeniesione później do Petersburga, szkoliły przede wszystkim urzędników. Szkoła Sztuk Pięknych charakteru akademickiego nie miała. Akademia Duchowna, powołana do kształcenia duchownych katolickich, znajdowała się na marginesie życia społecznego. Instytut Rolniczo-Leśny w Marymoncie był zakładem kształcenia praktycznego i nie mógł stać się placówką prawdziwie naukową. Tymczasem rosły potrzeby kraju w zakresie kwalifikowanych kadr zawodowych. Potrzeb tych nie mogły zaspokoić dotychczasowe sposoby kształcenia kadr. Dopływ absolwentów z uniwersytetów zagranicznych, bądź z głębi Rosji nie był dostateczny, tym bardziej, że studiowanie za granicą mogło być tylko przywilejem zamożnych.

Pierwszym zwiastunem zmian było utworzenie uczelni lekarskiej w Warszawie, której pełna nazwa brzmiała Cesarsko-Królewska Medyko-Chirurgiczna Akademia. Założona została w r. 1857, a więc po śmierci cara Mikołaja I i namiestnika Paskiewicza. W ciągu pięciu lat istnienia Akademii studiowało w niej 597 uczniów, w tym 413 medyków i 184 farmaceutów. Akademia mieściła się kolejno w zabudowaniach pojezuickich, następnie w Pałacu Kazimierzowskim i wreszcie w Pałacu Staszica. W r. 1862 Akademia została przekształcona w Wydział Lekarski Szkoły Głównej.

Wiele trudności w organizowaniu Szkoły Głównej płynęło z pośpiechu, wyczuwano bowiem, że przewlekanie sprawy mogłoby ją tylko pogrzebać. Niełatwo też było skompletować grono nauczające. Jedynie wydział lekarski dysponował gotową i dobrą kadrą. Trzeba było jednak obsadzić wydziały Prawa i Administracji, Matematyczno-Fizyczny oraz Filologiczno-Historyczny. Ostatecznie pracowników naukowych pozyskano z różnych środowisk i wszystkich trzech zaborów. Byli wśród nich zarówno wybitni, jak i całkiem przeciętni, wręcz mierni ludzie. Na czele Szkoły stanął Józef Mianowski, lekarz, wychowanek Uniwersytetu Wileńskiego, dobrze notowany w sferach dworskich Petersburga. Był on rektorem Szkoły Głównej w ciągu całego siedmiolecia jej istnienia. Do wybitniejszych profesorów i docentów Szkoły Głównej należeli m.in.: Aleksander Le Brun, Tytus Chałubiński, Włodzimierz Brodowski, Ludwik Maurycy Hirszfeld, Henryk Hoyer, Polikarp Girsztowt, lekarze, Edward Strasburger, August Wrześniowski, Benedykt Dybowski, przyrodnicy, Władysław Holewiński, Walenty Dutkiewicz, Teodor Dydyński, Walenty Miklaszewski, prawnicy, Zygmunt Węclewski, filolog, Karol Estreicher, bibliograf, Adolf Pawiński, historyk, Henryk Struve i Stefan Pawlicki, filozofowie. Na Wydziałach Lekarskim i Matematyczno-Fizycznym torowały sobie drogę najnowsze poglądy i metody w naukach biologicznych, jak np. darwinizm i koncepcje Virchowa.

Ogółem w pierwszym półroczu roku szkolnego 1863/64 czynnych było w Szkole 51 profesorów, a w ostatnim roku jej istnienia — 81. Studiujących Szkoła liczyła w pierwszym roku akademickim 801, w ostatnim 595, największą liczbę uczniów zanotowano w r. 1866/67, było ich wtedy 1095. Dla kandydatów do studiów uruchomiono wcześniej tzw. kursy przygotowawcze; długotrwały bowiem brak uniwersytetu w stolicy zaważył ujemnie na poziomie nauczania w gimnazjach, stąd zorganizowanie kursów przygotowawczych stało się koniecznością. Młodzież wykazała wiele entuzjazmu dla nowej uczelni i studiów wyższych, a niewysokie opłaty za naukę przyciągały element niezamożny, synów oficjalistów, urzędników, rzemieślników a nawet chłopów.

Zaledwie dwa miesiące upłynęły od dnia otwarcia Szkoły Głównej, gdy niepokojąco zaważył nad jej losami wybuch powstania styczniowego. Młodzież studiująca w Szkole Głównej nie poparła powstania. Na burzliwym zebraniu w teatrze anatomicznym przy ul. Zgoda, pod wpływem swych profesorów — J. K. Plebańskiego i H. Struvego, oraz swego kolegi Jana Baudouina de Courtenay, postanowiła nie przyjąć udziału w powstaniu. To pokolenie, które miało zasłynąć w naszych dziejach społecznych i kulturalnych jako pokolenie rozważnych pozytywistów i organiczników, nie wzmocniło szeregów powstańczych, przedkładając pracę i naukę nad zryw zbrojny. Taka opinia utrwaliła się o stosunku studentów Szkoły Głównej do powstania i sprawa ta dotychczas nie została należycie zbadana. W istocie jednak wielu słuchaczy Szkoły Głównej było czynnych w powstaniu. Przede wszystkim medycy zasilili powstańczą służbę zdrowia. Zważywszy, że Wydział Lekarski Szkoły Głównej istniał już pięć lat przed jej otwarciem w postaci Akademii Medyko-Chirurgicznej, łatwo zrozumieć, że jego absolwenci i studenci byli znakomicie przygotowani do tej trudnej roli. Podobnie inne wydziały zasiliły szeregi walczących. Każdy jednak brał udział w ruchu powstańczym na własny rachunek, Szkoła Główna, jako całość, udziału w powstaniu nie przyjęła. Z jednej strony młodzież Szkoły Głównej zasłużyła sobie na krytykę i szyderstwa ze strony gorącej młodzieży z innych zaborów (młodzież krakowska przysłała akademikom warszawskim wrzeciono, jako symbol zniewieścienia); z drugiej strony — oficjalnie zajęte stanowisko uchroniło Szkołę Główną od likwidacji. Przetrwała ona siedem lat.

Tylko niewielkie grono studentów Szkoły Głównej pozostało wierne pierwotnej orientacji. Większość brała udział w ruchu powstańczym. Udział ten jednak był zakonspirowany, a walczącym studentom los odmówił laurów żołnierskich. Zwolenników postawy powściągliwej czy wręcz krytycznej względem powstania nazwano „Beduinami", od nazwiska jej wy-

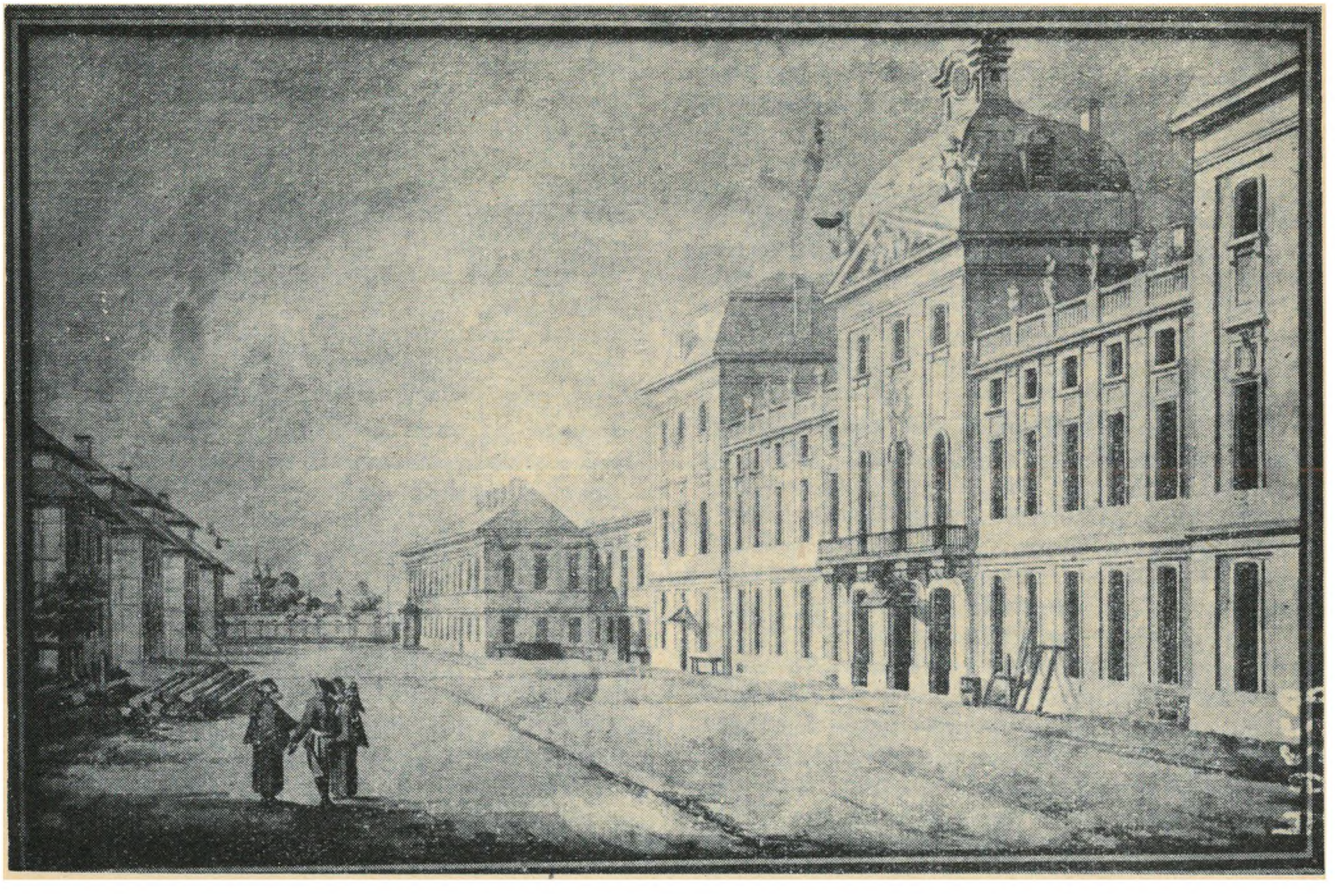

raziciela — Jana Baudouina de Courtenay, A jednak... on sam związał się na pewien okres z organizacją powstańczą. Oto jego własna relacja:

„Ja osobiście prawie cały czas zapatrywałem się sceptycznie na głoszone powodzenia przez powstańców i pozwalałem sobie wypowiadać swe wątpliwości nawet wobec ludzi pokrytych siwizną, a zapalających się do powstania. Jedynie tylko w ciągu dwóch miesięcy letnich r. 1863, lipca i sierpnia, dałem się porwać ogólnemu prądowi i zacząłem wierzyć w możliwość powodzenia. Kiedy w tym czasie zjawił się do mnie w imieniu organizacji konspiracyjnej nieznany mi młodzieniec z propozycją wstąpienia do organizacji i przyjęcia na siebie godności nadzorcy domu, w którym mieszkałem (z daleko sięgającą władzą: robienia wykazu «popisowych», śledzenia za osobami podejrzanymi, wskazywania w razie czego szpiegów, a więc pośrednio skazywania na śmierć), godność tę przyjąłem i pełniłem ją w ciągu kilku tygodni." (Jan Baudoiun de Courtenay: Rok 1863 a Szkoła Główna Warszawska. Moskwa 1916).

Również w gronie profesorów Szkoły Głównej byli ludzie czynnie zaangażowani w kierownictwie politycznym powstania. Profesor Benedykt Dybowski, jeden z najwybitniejszych zoologów, oddał swe audytorium na spotkania sekretarzy wydziałów Rządu Narodowego, a pewnego razu, wobec zagrażającej rewizji, ukrył kompromitujące dokumenty we wnętrzu preparowanej w czasie zajęć szkolnych antylopy. Dybowski okupił swój udział w konspiracji zesłaniem na daleką Syberię. Inny z profesorów, Włodzimierz Aleksander Dybek, lekarz, mężnie wytrzymał śledztwo w jego bodaj najostrzejszej fazie i również został zesłany w głąb Rosji.

Jednakże nie udział w czynie powstańczym, lecz zasługi na polu wychowawczo-naukowym zadecydowały o doniosłej roli Szkoły Głównej w naszej zeszłowiecznej historii. Uczelnia ta wydała bowiem liczny zastęp wybitnych pracowników zawodowych a nawet naukowych, organizatorów życia społecznego i kulturalnego, niejednokrotnie zasłużonych obrońców zagrożonej polskości.

Z grona medyków warto wspomnieć Władysława Gajkiewicza, długoletniego redaktora „Gazety Lekarskiej", Wiktoryna Kosmowskiego, redaktora „Kroniki Lekarskiej", Zygmunta Kramsztyka, redaktora „Krytyki Lekarskiej", Józefa Bielińskiego, historyka szkolnictwa wyższego w Polsce, Konrada Dobrskiego, współzałożyciela Kasy im. Mianowskiego, Henryka Nusbauma, późniejszego profesora Uniwersytetu Warszawskiego.

Do wybitniejszych wychowanków Wydziału Matematyczno-Fizycznego należeli m.in. Samuel Dickstein matematyk, zasłużony działacz naukowy, Emil Godlewski i Józef Rostafiński, botanicy, Julian Ochorowicz, psycholog i pierwszy eksperymentator w zakresie parapsychologii, Feliks Kucharzewski, redaktor „Przeglądu Technicznego", Filip Sulimirski, inicjator i wydawca Słownika geograficznego Królestwa Polskiego, Stanisław Kramsztyk, popularyzator nauk przyrodniczych.

Wydział Prawa i Administracji, skupiający największą liczbę słuchaczy, wydał liczny zastęp prawników, publicystów, wydawców, dziennikarzy, badaczy naukowych, jak Alfons Parczewski, Adolf Suligowski, Antoni Osuchowski, Zygmunt Gloger; z grona wychowanków tego Wydziału wyszedł również poeta — Wiktor Gomulicki, oraz Aleksander Kraushar, historyk.

Niezwykle bogaty plon wydał Wydział Filogogiczno-Historyczny, do którego wychowanków zaliczali się: Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus, Adolf Dygasiński, Walery Przyborowski, Józef Kotarbiński, Bronisław Chlebowski, Piotr Chmielowski, Antoni Gustaw Bem, Jan Baudouin de Courtenay, Antoni Adam Kryński, Lucjan Malinowski, Aleksander Świętochowski i in. Na tym Wydziale doktoryzował się profesor Szkoły Głównej, prawnik z wykształcenia, Karol Estreicher, który jednocześnie był czynny jako podbibliotekarz Biblioteki Głównej i który tu opracował swą pomnikową Bibliografię Polską XIX wieku, dokończoną i wydaną w Krakowie, już po przekształceniu Szkoły Głównej w uniwersytet rosyjski.

Żywot Szkoły Głównej był krótki, jej pokłosie wszakże obfite i wielkie. Była to prawdziwa kuźnia polskiej myśli pozytywistycznej, szkoła działaczy społecznych, o których można bez przesady powiedzieć, że nadawali ton życiu inteligencji polskiej prawie do 1905 roku, a może i dłużej. Dał temu wyraz Aleksander Świętochowski w swym przemówieniu na uroczystości jubileuszowej przed 50 laty: „Dopóki żyjemy, my, wychowańcy Szkoły Głównej, dopóty żyje ona..." A nawiązując do potrzeby wznowienia uniwersytetu w Warszawie, potrzeby, która w krótkim czasie miała być zaspokojona, pawiedział: „Wielowiekowa nasza kultura domaga się na tym odłamie ziemi polskiej takiego przybytku nauki; ale gdyby nawet jej głos nie był dość wyraźny i zrozumiały, to sam dowód, czym się stała Szkoła Główna, tak młoda, wiekiem i uboga środkami, a tak potężna swym wpływem, wystarczyłby dla obudzenia i podtrzymania w społeczeństwie tej nieprzepartej, nieustraszonej i niezwalczonej dążności...". (Księga pamiątkowa zjazdu b. wychowańców Szkoły Głównej Warszawskiej w 50 rocznicę jej założenia. Warszawa 1914).

MILOŠ BIČ

STWÓRCA TROSZCZY SIĘ O CZŁOWIEKA

(Przekład IZ 2, 4b-7 i komentarz)

4b. Kiedy Pan Bóg uczynił ziemię i niebo a), — 5 (kiedy) nie było jeszcze żadnego krzewu polnego na ziemi, i jeszcze żadna roślina polna nie wykiełkowała, bo Pan Bóg nie skrapiał ziemi deszczem, i nie było nawet człowieka, któryby rolę uprawiał, 6. lecz powódź b) występowała z ziemi i napawała całą powierzchnię roli, — 7. wówczas Pan Bóg ukształtował człowieka, proch z roli, c) i wdechnął mu w nozdrza dech życia. Tak się stał człowiek żywym tworem e).

a) Samarytański Pentateuch, grecka Septuaginta oraz syryjska Peszitto podają w innym porządku: niebo i ziemię. b) Hebrajskie ED wywodzi się z akkadyjskiego EDU, Septuaginta tłumaczy to jako PEGE, a za nią Wulgata — jako fons, czeski przekład kralicki — para, tak samo Gdańska, Luter-Nebel, Zuricher Bibel z r. 1931 — Wasserschwall, angielska Authorised Version z r. 1611 i amerykańska Revised Standard Version z r. 1952 — flood, francuska La Sainte Bible (tradite en francais sous la direction de l'Ecole biblique de Jeŕusalem, Paris 1956) — un flot. — c) APAR MIN HA-ADAMA; jednako tłumaczy Septuaginta CHUN APO TES GES, ale Wulgata — de limo terrae, czeska Kralicka i polska Gdańska — z prochu ziemi; Luter — aus einem Erdenkloss, Züricher Bibel — aus Erde vom Ackerboden, angielski — of the dust the ground, amerykański — of the dust from the ground, francuski przekład — avec la glaise du sol. d) Hebrajskie BE-APPA'V Septuaginta tłumaczy EIS TO PROSOPON, Wulgata — in faciem. — e) NEPESZ CHAJJA, por. 1, 20 n. 24.30. Czeska Kralicka i polska Gdańska tłumaczą jako duszę żywiącą, Züricher Bibel — ein lebendes Wesen, amerykański przekład — a living being, francuski — un etre vivant.

Podczas gdy 1Z 1,1-2,4a uchodzi za źródło czy warstwę P (Prie kodex, kodeks kapłański), autorem rozdziałów 2—4 ma być tzw. Jahwista (J). Oczywiście nad tekstem pracowali jeszcze inni, jeden z tych ludzi do zwykłego u J imienia Bożego „Pan" (JAH'VE) dodał słowo „BÓG" (ELOHIM), nie mówiąc już o innych przeróbkach. Tego zdania jest przynajmniej H. Gunkel (Genesis, 4. wydanie Göttingen 1917) i G. von Rad (Des arste Buch Mose, 6. wyd. Göttingen 1961). Przeciwnego zdania jest B. Jacob (Das erste Buch der Tora, Berlin 1934) i K. H. Rabats (Die Genesis 1—11, Berlin 1951). Z teologicznego punktu widzenia teoria ta istotnie jest wątpliwa.

4b. Siódmy dzień, o którym słyszeliśmy w poprzednich wersetach, ciągle trwa; przynajmniej nigdzie nie ma mowy, aby się skończył. Dalszy tekst nie przynosi w samej rzeczy żadnej wiadomości o nowym stworzeniu. Ani razu też nie pojawi się w drugim rozdziale słowo BARA (stworzył, por. 1, 1), czego nie podobna wyjaśnić tylko specyfiką słownictwa Jahwisty. Tradycja streszcza wszystkie sześć dni stworzycielskich do wyrażenia „kiedy", dosłownie „w dniu, w którym" (BE-JOM), albowiem „dzień" ten stanowi zwartą całość (por. „w dniu", tj. w sześciu dniach, w których uczynił itd. — przypisy i wykłady tłumaczy Biblii Kralickiej) w przeciwieństwie do „dnia siódmego", w którym Bóg stara się o swoje stworzenia i zabezpiecza jego życie. Zmianę tę uwydatnia nowe imię Boże, „Pan Bóg" (po hebrajsku JAH'VE ELOHIM). Imię JAHVE, w którym dla Izraelity tkwiło wyobrażenie Boga przymierza i Zbawiciela, niepodobna przetłumaczyć i dlatego za tłumaczami Kralickiej oddajemy jako „Hospodin", Pan, aczkolwiek odpowiada ono raczej greckiemu KYRIOS, które znowu jest przekładem hebrajskiego ADONAJ = Pan, Władca, którym Żydzi już przed przeszło dwoma tysiącami lat zastąpili imię JAH'VE, którego nie wolno im było wymawiać. Szczególna konstrukcja „Pan Bóg" poza 1Z 2 występuje tylko jeszcze w 2Z 9,30. Właśnie tam dowiadujemy się (ze środowiska egipskiego), że jedynym Bogiem jest właśnie Pan. I nasza perykopa podkreśla to samo: jedynym Bogiem, który gwarantuje życie, jest ten, który wszystko stworzył (por. Jj 37,16 45,18), JAH'VE ELOHIM, Pan Bóg. On ustala porządki, które nieodwołalnie obowiązują i wiążą wszelkie stworzenie, a przede wszystkim człowieka. Już tu przygotowuje się drogę, po której później Pan poprowadzi swoich wybranych. Jej etapy są oznaczane dalszym rozszerzaniem imienia Bożego: Pan Bóg Szema (1Z 9,26), Pan Bóg Abrahama (24,12) itd. aż do Pana Boga Izraela (2Z 5,1), a w mowie bezpośredniej do ludu starego przymierza: Pan Bóg twój (2Z 20,2).

Werset 4b różni się zasadniczo od wersetu 4a. Tam było „niebo i ziemia" (podobnie jak w 1,1), tu zaś jest „ziemia i niebo". Ten niezwykły w ST porządek występuje w Ps 148,13, zresztą nawiązującym do 1Z ln, i w zaledwie kilku innych jeszcze miejscach (np. Ps. 8,2 Jj 45,12 Jrj 10,12 itd.). Ta możliwość zmiany następstwa obu pojęć wskazuje na ich nierozerwalny związek: ziemia bez nieba przestaje być ziemią i przepada w mrok i przepaść, zaś niebo bez ziemi nie ma sensu. Dla Izraelity nie jest ono bowiem, jak dla poganina czymś, przed

czym drżał ze strachu. Tu ziemia wymieniona jest na pierwszym miejscu, bo w dalszym opowiadaniu będzie chodziło właśnie o nią, o uporządkowanie stosunków na niej, o porządki, które będą regulować wszelkie życie na niej.

5—6. Ziemia w „prastanie" była pokryta wodą (1,9). Taki właśnie obraz ma na myśli również autor 1Z 2. Wielkie to nieporozumienie, kiedy nowocześni komentatorowie przeciwstawiają rozdział drugi rozdziałowi pierwszemu, jakoby w nim była mowa o ziemi pustej, suchej i spragnionej, a w rozdziale pierwszym przeciwnie (Gunkel i v. Rad). Tymczasem w obu rozdziałach jest jedno i to samo wyobrażenie. Zresztą rozdział drugi wyraźnie wychodzi z rozdziału pierwszego i doń nawiązuje. Z tego oczywiście jeszcze nie wynika, że oba rozdziały musiały powstać w jednym czasie i wyjść spod jednej ręki. Słowo ED od dawna wywoływało przedziwny chaos w poglądach komentatorów. Pochodzi ono najwyraźniej z akkadyjskiego EDU i jest w hebrajszczyźnie w gruncie rzeczy wyrazem obcym; występuje jeszcze tylko u Jb 36,27. Oznacza on powódź, wylew. Tylko taki przekład daje rozumny sens naszemu opowiadaniu. Ziemia jest zalana burzliwymi wodami, z odmętów których Bóg ją stworzycielskim słowem wyprowadza (1,9). Istoty rzeczy nie zmieni fakt, że już tłumacze Septuaginty tego nie rozumieli. Dziś jednak, już z całą pewnością, ustalamy pochodzenie i sens tego niezwykłego wyrażenia. Pamiętać również należy, że zostało ono użyte celowo. Swoimi spółgłoskami wywołuje asocjację ze słowami ADAM (człowiek) i ADAMA (rola), wokół których toczy się właśnie całe opowiadanie. Ziemia wyniesiona z głębin (1,9), otrzymuje rozkaz wydania roślinności (1,11). Jest to zatem ziemia urodzajna i dlatego nazywa się rolą. Z niej powstanie również człowiek. Gra wyrazów ADAM-ADAMA ma swój odpowiednik w łacińskim HOMO-HOMUS (w języku czeskim i polskim tylko w przenośni: ziemianin-ziemia, rolnik-rola). Owszem, w języku hebrajskim asonacja z ED wskazywałaby jeszcze na możliwość buntu człowieka przeciwko Bogu. Ba, co więcej! Ten „wylew" z dołu jest przeciwieństwem wilgoci z góry (w. 5). Czyż to nie symbol obu krajów, w których żył Izrael? Egipt to kraj zwilżany z dołu Nilem, ale Palestyna, o którą troszczy się sam Bóg, jest zwilżana z góry deszczem i rosą (por. 5Z 11,11n).

7. Rozdział pierwszy podkreśla wyjątkową pozycję człowieka wśród pozostałego stworzenia. Rozdział drugi patrzy na człowieka z innego punktu widzenia. Zwykliśmy mówić, że Bóg ukształtował człowieka z prochu ziemi. Wyobrażenie to świadczy o tym, że nie rozumieliśmy poprzednich wersetów. Jeżeli bowiem wszystka rola przesycona była wylewem, to przecież nie mogło być na niej prochu. Nie przeszkadza to jednak temu, że to, co z przesyconej wilgocią roli powstało, było tylko prochem, stworzeniem podlegającym zepsuciu i zniszczeniu. Wylew nie był od Boga, nie miał w sobie życia, przesycał wprawdzie rolę wilgocią tak, iż stworzenie zaledwie wegetowało, ale nie mogło żyć. Dlatego też Pan może powiedzieć do upadłego człowieka: „Proch jesteś!" (3,19, por. Ps 103, 14), a nie mówi: „Stałeś się prochem". Biblia nie zna człowieka jako półboga w sensie grecko-rzymskich mitów. Człowiek jest tylko prochem (Jj 45,9 64,7 43,1). Tym jaśniej występuje wielkość miłości Bożej, że się do niego mimo to skłania. I znowu tu można snuć nić aż do wyprowadzenia Izraela z Egiptu (2Z 20,2).

Pan Bóg zniża się do człowieka tak dalece, że go nieledwie obejmuje. „Wdechnął w jego nozdrza dech życia". Nie ma wspanialszego obrazu, któryby lepiej ilustrował chęć Boga do obcowania z człowiekiem! Człowiek stworzony na obraz Boży nie jest równy Bogu; zawsze będzie tylko „prochem". Aczkolwiek otrzymał „dech życia" w sposób tak szczególny, nie jest niczym więcej, jak tylko „żywym tworem" (dosłownie: żywą duszą) jak każde inne stworzenie (1,20.24.30). Człowiek nie otrzymał żywej duszy, jak to nieraz pod wpływem greckiego myślenia pojmowano w Kościele, lecz stał się żywą duszą, żywym tworem. I to jest typowe dla hebrajskiego myślenia. Nie chodzi więc o duszę jako samodzielny pierwiastek, który byłby zdolny do życia poza ciałem, a przebywający w ciele chwilowo, niby w więzieniu. Człowiek został stworzony przez Boga jako niepodzielna całość, „stał się" żywą duszą, żywym tworem i jako taki winien służyć Panu Bogu ciałem i duchem (1K 6,20). Dlatego to właśnie Kościół wierzy w „ciała zmartwychwstanie" (por. Rz 8,11) i ta jego wiara jest żywym protestem przeciwko greckiemu filozoficznemu dualizmowi.

TŁUM. E. J.

Na marginesie blasków i cieni chrześcijańskiego Millenium (I)

Rocznica Tysiąclecia państwowości polskiej stwarza okazję nie tylko do obchodów i uroczystości, ale w pierwszym rzędzie do wielokierunkowych analiz, dociekań i retrospekcji, dotyczących naszej historii.

Działalność ta, zataczająca aktualnie szerokie kręgi w naszej nauce i publicystyce, nie może pominąć historycznego faktu, że w ubiegłych okresach chrześcijaństwo determinowało nasz byt narodowy. Było ono czynnikiem, który przez 10 wieków wpływał w sposób ciągły na stosunki wewnętrzne i zewnętrzne naszego państwa, jakkolwiek oddziaływanie to posiadało zmieniającą się dynamikę.

Niektóre jednak rozprawy i dociekania, poświęcone Milenium, powyższą zależność pomniejszają lub też usiłują bezkrytycznie zdyskontować na korzyść określonych kręgów społeczeństwa. Wydaje się, że właśnie my, ewangelicy, mamy nie tylko prawo ale i obowiązek, aby problem powyższy obiektywnie i rzeczowo społeczeństwu polskiemu przedstawić, przypomnieć i naświetlić. Chrześcijaństwo średniowieczne stanowi wspólny pień, z którego i my wyrośliśmy oraz bezsprzecznie się do niego przyznajemy. Jednocześnie jesteśmy wolni od jednostronnej afirmacji i nieskrępowani żadnymi autorytetami, a będąc zaangażowani i mając na względzie dobro obecnego i przyszłego Kościoła Chrystusowego, powinniśmy czuć się powołani do zajęcia stanowiska w bieżącej narodowej dyskusji.

Zadanie to jest niesłychanie trudne, rozległe, a przy tym bardzo odpowiedzialne, wymaga naukowego przygotowania, literackiego talentu i ogromu pracy. Nie jest przeto zamiarem niniejszego szkicu omówienie, ani tym bardziej wyczerpanie, wszystkich aspektów historii chrześcijaństwa w Polsce ani Polski w chrześcijaństwie. Pragnę jedynie niektóre wybrane fakty przypomnieć i ocenić, ilustrując je wypowiedziami historyków, literatów i publicystów.

Mówiąc o wpływie na nasze dzieje tak złożonego zjawiska, jakim było i jest chrześcijaństwo, należy na wstępie wyraźnie wydzielić jego podstawowe dwa składniki, które pod względem oddziaływania na życie publiczne i społeczne narodu różnią się między sobą w sposób zasadniczy i niezależny od epoki historycznej.

W chrześcijaństwie, szczególnie średniowiecznym, należy odróżnić Kościół, jako ścisłą organizację, reprezentowaną przez hierarchię, oraz wiernych, czyli lud ochrzczony. Dostojnicy kościelni, arcybiskupi, biskupi, nuncjusze i legaci, już w XII wieku uzależnieni jak najściślej od ośrodka dyspozycyjnego w Rzymie, szczególnie wyraźnie oddziaływali na wypadki historyczne i politykę krajów chrześcijańskich. Szare masy ludności stopniowo przyjmowały i w codziennym życiu, w zależności od poziomu intelektualnego i kulturalnego, stosowały praktycznie zasady etyki i moralności chrześcijańskiej oraz formy pobożności i kultu, wpajane im przez duchownych (proboszczów, przeorów, nauczycieli).

Jako umowną datę narodzenia się tego związku Polski z chrześcijaństwem przyjmujemy rok 966, jakkolwiek już wcześniej, na przełomie IX i X wieku, działały doraźnie na naszych południowych obszarach różne misje. Dzisiejsza wiedza historyczna i archeologiczna udawadnia jednak bezspornie, że moment „chrztu Polski" nie jest bynajmniej równoznaczny z powstaniem naszej narodowości i państwowości, nie jest jedynym fundamentem naszej drogi dziejowej. Tworzenie Polski, czyli proces scalania w organizm państwowy plemion i szczepów nad Wartą i Odrą — rozpoczął się co najmniej 100 lat wcześniej. Oto jak ocenia ten okres P. Jasienica: „Rok 966 jest w naszej historii datą ogromnie ważną, jedną z najważniejszych, ale nie może być uznany za żaden świt dziejów Polski... Chrześcijaństwo przyniosło nam wiele nowych wartości, ale sankcjonowało zastaną strukturę państwową, tę która wytworzyła się w dobie pogańskiej,... już w czasach poprzedzających chrzest, kraj samodzielnie dojrzał do norm europejskich. Historyczna kultura polska powstała ze zrostu dawnego dorobku z chrześcijańską nowiną."

Mieszko I i Chrobry otworzyli sami dobrowolnie i z całą świadomością, drogę zachodniej idei chrześcijańskiej, a uczynili to nie dla osobistego jej umiłowania, czy religijnego mistycznego doznania lub przebudzenia. Władcy ci, ze względów czysto praktycznych, przyjęli tę ofensywną i prężną nowinę, jako środek wyraźnie polityczny, który miał spełniać dwa podstawowe zadania: ustrzec ich przed skutkami powszechnie naonczas stosowanej metody nawracania orężem oraz dopomóc w dziele cementowania organizmu państwowego.

Ta dalekowzroczna decyzja świadczy właśnie dobitnie o ich „dojrzałości do norm europejskich", wg których nawracanie mieczem łączyło się z powiększaniem zasięgu władzy monarchów. Chrystianizacja służyła rozszerzaniu niemieckich wpływów politycznych i była to

metoda powszechna we wczesnym średniowieczu. Ci pierwsi wielcy i bliżej nam znani Piastowie wyciągnęli logiczne wnioski ze swego geopolitycznego położenia w stosunku do zachodu a w szczególności do agresywnego i zaborczego ośrodka, jakim było Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego. Krok Mieszka I był chęcią zbliżenia się do kultury łacińskiej ale w charakterze równorzędnego partnera a nie przymuszonego niewolnika. Ówczesne normy współżycia międzynarodowego dotyczyły bowiem tylko władców chrześcijańskich; książęta pogańscy byli poza prawem, nie byli kontrahentem do kontraktów i układów. Świadome przyjęcie chrześcijaństwa i uczynienie zeń religii państwowej dla ludności wszystkich ziem podległych Piastom, służyło przezwyciężeniu odrębności plemiennych i dzielnicowych (ówczesna hierarchia kościelna była jeszcze praktycznie podporządkowana władzy państwowej).

Chrystianizm polski opierał się na wzorach zachodnich, od których przyjął sztucznie swój model. Nie była to idea czy styl życia całkowicie przetworzona w duchu słowiańskim. „Kto wie, czy rzeczywiście nie należałoby w tym właśnie braku własnego wysiłku upatrywać pewnej powierzchowności w katolicyzmie polskim, który miał może również swój udział w polskim, nie zawsze zresztą dochowanym, duchu tolerancji" — mówi znany publicysta katolicki A. Wielowieyski.

Pogańskie dusze Polan i Wiślan przyjmowały z oporem zewnętrzne i obrzędowe elementy kultu chrześcijańskiego oraz przejawy nowej pobożności, a wartości wewnętrzne i duchowe przyswajały sobie w życiu codziennym bardzo stopniowo, powoli i powierzchownie.

Chrześcijaństwo pierwotne tolerowało i adaptowało wiele starych obrzędów i tradycji pogańskich, wiążąc je z uroczystościami kościelnymi oraz zamieniając nazwy starych bóstw imionami świętych (np. Sobótka = noc św. Jana).

Nie podlega dyskusji, że nasze średniowieczne pomniki architektury, kultury i literatury są naśladownictwem Zachodu i powstały za sprawą Kościoła. Ale niby za czyją inną sprawą mogły powstać? Były przecież wytworem elitarnym, wytworem ludzi wykształconych, a ci rekrutowali się wyłącznie ze sfer duchowieństwa. Odpowiednie środki materialne były również dostępne tylko Kościołowi. Jeszcze wiele następnych wieków nie znało kultury masowej. Źródłem ówczesnej oświaty, obejmującej b. wąskie grono możnych, byli także wyłącznie duchowni, w wielu wypadkach obcokrajowcy.

A „de publicis"? Mieszko I, a również i Chrobry, mimo konsekwentnego kontynuowania „kierunku na chrześcijaństwo", nie uniknęli jednak zaborczych aktów ze strony niemieckiej. Wprawdzie oficjalna chrześcijańska orientacja Polski utrudniała cesarzom zorganizowanie europejskiej krucjaty przeciw państwu Piastów, jednak ówczesna faza orężnego parcia germańskiego na wschód zagroziła bardzo zasadniczo naszemu niezależnemu bytowi. Mieszko I zmagał się w roku 972 z naporem margrabiego Hodona i szczęśliwie obronił się. A za Chrobrego siłą napędową najazdów w latach 1002—1018 był Henryk II, król niemiecki i cesarz rzymski, zakonnik i mnich, panujący w imię chrześcijańskiego Boga, koronowany przez papieża, a potem za swoje „zasługi" w dziele utwierdzenia chrześcijaństwa, uznany za świętego i wyniesiony na ołtarze. Ocenę jego „zasług" zaczerpniemy ze znanego cyklu A. Gołubiewa pt. „Bolesław Chrobry". Ówczesny książę Bolko mówi po śmierci swego przyjaciela, cesarza Ottona III: „A jeślić nie przeszkodzimy, by Henryk ostał cesarzem i królem Germanii, tegdy wiecie, co to jest?... To jest wojna. Na śmierć. Bo albo im śmierć, albo nam". Skoro Henryk (po trupach swych konkurentów) osiągnął koronę „obiecał Bolkowi Łużyce i Milsko... złożył Bolesław hołd cesarzowi. Henryk objął go, uściskał i obdarzył. A gdy Bolesław miał opuścić Merseburg, nasłano na niego siepaczy". Swe własne zamiary względem Polski tak wyjawia sam „święty" Henryk przed arcybiskupem Brunonem: „Cesarzom to rzymskim powierzył Bóg stróżę nad światem. oni ten pokój urządzą... pax Romana... aleć idzie się doń powoli... czasem przez wojnę, nawet przez chwilowe przymierza z poganami... z Lutykami (Wieletami) czy bez... Rozduszę tę pyszną ropuchę, tego wilka, tego gada" (Bolesława).

Cesarski nadworny mnich zapisuje w swej kronice: „Tak tedy mamy kulawego króla Germanii (Henryka) ... Skończy się obmierzłe władanie Sasów, nynie Bawary górą... Oby Pan nasz Jezus Chrystus zniszczył to plemie jaszczurcze, a wraz z nim księcia północy Bolesława, który nawet Sasów przewyższył przewrotnością, prawdziwy sługa piekielny. O co zawsze modły zanosić będziemy do najwyższego Boga, Maryi i wszystkich świętych zakonników, rycerzy i męczenników." (również wg Gołubiewa).

Zaborcze intencje Henryka zostały przezeń zrealizowane: „Henryk dotarł do Odry... Welety znalazły niestrzeżony bród. Niemcy przeszły Odrę. Teraz Poznań ma się oprzeć Henrykowi... Teraz szła ta żelazna nawała... na Poznań, do samego gardła dobrać się Bolesławowi... Henryk chce siłą dostać to wszystko, co Otto chciał dostać braterstwem i ugodą... (Oblężony) Poznań czekał na niemieckie poselstwo. Miał pono przybyć Tagino, arcybiskup magdeburski... nie było odeń zaciętszego wroga Bolesława, bardziej nieprzejednanego i nieustępliwego... on to podjudzał Henryka do zupełnego zniszczenia księstwa, do sprzymierzenia się z kim tylko się da — choćby i z po-

ganami — byle raz objąć w lenno ziemię nad Odrą i Wartą". W czasie pertraktacji arcybiskup Tagino takie stawiał warunki Bolesławowi: „Król Henryk wielce boleje, że mieczem musiał uśmierzać waszą zuchwałość, panie. Przy pomocy Boga... ukrócił wszystkie wasze zapędy... Przez Boga kres na was przyszedł... Podzielcie księstwo, tak jak wasz ojciec chciał, Mieszka... obejmiecie ziemie, które on wam wyznaczył, a synom pani Ody dacie te ziemie, które im wyznaczono... a trumnę ze świętemi szczątkami męczennika Adalberta (Wojciecha) odeślecie do Akwizgranu... złożycie hołd lenny... daninę opłacicie".

I tylko dzięki geniuszowi Chrobrego Polska ostała się wobec tego naporu. Ale nasza młoda narodowa organizacja społeczno-polityczna poniosła z rąk „świętego" Henryka, „pomazańca Chrystusowego", ogromne straty i spustoszenia: „Źle było z takim, co nie zdążył (uciec przed Niemcami), nawet w łyka Niemce nie brali, jeno zaraz po czerepie... wojna wybiła wszystkie ziemie, kędy Niemcy, Czechy albo Welety przeszły... ostatnia belka spalona, nie ma rąk do odbudowania grodów". — I mimo upływu 10 wieków taki obraz nie obcy jest naszemu pokoleniu.

Paweł Jasienica podobnie przedstawia te wypadki: „Bolesław... w lipcu (1002 r.) stawił się w Merseburgu na uroczystość, podczas której książęta niemieccy mieli uznać nowego króla (Henryka II)... Zdawało się, że pertraktacje dadzą pomyślny skutek... Ale kiedy Bolesław wyjeżdżał z Merseburga, napadł nań nasłany przez Henryka oddział zbrojny. Chrobry uszedł z życiem przez wyłamaną bramę, wielu jego ludzi poraniono... Pokój był zerwany... Wytrwałym, mądrym i przebiegłym przeciwnikiem Polski był Henryk II, zaliczony przez Kościół w poczet świętych. Pobożność wcale mu nie przeszkodziła sprzymierzać się przeciw Bolesławowi z zatwardziałymi w pogaństwie Wieletami... Jak bardzo i wówczas pozory różniły się od rzeczywistości, a ideologia służyła jedynie za parawan dla polityki, świadczy fakt, że tenże Henryk zaciągał tych samych wojów wieleckich (pogan) na wyprawę do Lotaryngii przeciwko katolickiemu biskupowi Metzu."

Tak oto na samym progu naszego Tysiąclecia pomazaniec Kościoła, do dziś figurujący w rejestrze świętych, ogniem i mieczem usiłował za wszelką cenę rozszerzyć swą władzę i unicestwić zalążek Polski.

Wracając do spraw wewnętrznych przypomnieć należy, że w wieku X tylko górne warstwy społeczeństwa przyjęły idee chrześcijańskie. Stapianie się elementów pogańskich z chrześcijańskimi w niższych rejonach narodu następowało stopniowo przez jeszcze co najmniej 4 wieki i to nie zawsze bezboleśnie. Były i krwawe bunty kmiecej ludności, której książę zabraniał oddawać cześć starym bożkom, światowidom, świętym dębom i gajom. Reakcja pogańska szczególnie ostro wystąpiła w czasie powstania ludowego (1037—1039). Wystąpiły na jaw ukryte wśród ludu sympatie pogańskie, mordowano masowo rycerstwo, panów i duchownych, niszczono i palono grody, klasztory i kościoły. Zamieszki te wykorzystywał książę czeski Brzetysław: łupi Śląsk i Wielkopolskę, wywozi z Gniezna do Pragi trumnę z prochami św. Wojciecha.

„LEMMUH"

PRAGNĄŁBYM TAK ŻYĆ...

...ażeby rodzice moi, o ile jeszcze żyją, nie mieli z powodu mojego postępowania żadnych kłopotów;

...ażeby moja żona zrobiła dziś ten sam wybór co wtedy, gdy razem rozpoczęliśmy wspólną drogę życia;

...ażebym o każdym czasie mógł w miłej atmosferze prowadzić rozmowę z człowiekiem mającym inne zdanie o wierze chrześcijańskiej niż ja, żeby się nie rozgniewał nawet wtedy, gdy stwierdzimy różność poglądów;

...ażeby wszyscy moi znajomi mogli powiedzieć: „To jest człowiek, który słowa dotrzymuje";

...ażeby sąsiad mój pomyślał o mnie, gdy go dotknie bieda lub inne trudności, ale żeby też wspomniał o mnie w największych chwilach swojego życia;

...ażeby, kto Boga szuka, we mnie widział prawdziwego przyjaciela, który gotów jest mu pomóc.

„Svenska Sändebudit"

MŁODA JEDNOTA

ŚWIADOMA MŁODZIEŻ — PROBLEM ZASADNICZY

Charakterystyczną cechą naszej obecnej społeczności ewangelickiej jest jej starzenie się. Wystarczy rozejrzeć się wokół siebie w naszych kościołach, czy na naszych zebraniach: młodzieży stanowczo za mało. Przecież żywotność i prężność każdej społeczności zależy od młodego pokolenia, od młodzieży. I dlatego na tym odcinku widzę nasze podstawowe, kluczowe i najpilniejsze zadania.

Nasze dzieci wzrastają przeważnie w otoczeniu rówieśników wyznania katolickiego. Dziecku trudno zrozumieć, dlaczego ono ma być inne, dlaczego ma chodzić do innego „kościółka" i na inne lekcje religii — niż jego najbliżsi koledzy? Uświadomienie dziecka w tym względzie jest przede wszystkim zadaniem rodziców i wychowania domowego, które jednak z różnych przyczyn nie zawsze jest właściwe i świadome swych celów. W tej sytuacji rola ta przypada naszym szkółkom niedzielnym i lekcjom religii, których program powinien otwarcie i wyraźnie wyjaśniać dziecku już od pierwszego spotkania, dlaczego ono ma się różnić od swego codziennego otoczenia. Należy dziecku od pierwszej lekcji powtarzać, że różni się ono od rówieśników nie dlatego, że urodziło się w rodzinie ewangelickiej lub, że ochrzczone było w kościele ewangelickim, lecz przede wszystkiem dlatego, że jego wyznanie jest lepsze, wyższe, logiczniejsze, bardziej odpowiada Bogu, prawdziwiej spełnia Jego naukę i wolę oraz uwzględnia Jego Wszechmoc, że przodkowie nasi cierpieli za wyznawanie tej prawdy i niejednokrotnie oddawali za nią swe życie. Takie postawienie sprawy pozwoli dziecku odpowiednio wcześnie zrozumieć jego sytuację w społeczeństwie, zapobiegnie kompleksowi niższości, a odwrotnie: wyrobi nie tylko niezbędny szacunek i poszanowanie dla własnej wiary, ale także poczucie jej pełnej słuszności i prawdziwości oraz odporność na zewnętrzne zarzuty i wewnętrzne wątpliwości. W dzisiejszej naszej sytuacji nie można zakładać, że wystarczy dziecko nauczyć przykazań Bożych i historii biblijnej, a ono już samo wyprowadzi sobie stopniowo w swoim, wykształcającym się umyśle, odpowiedni krytycyzm i linię podziału między prawdą Ewangelii a Jej wypaczeniem, między ewangelicyzmem a katolicyzmem, oraz stanie wyraźnie i świadomie po stronie prawdy. Nasze dziecko ewangelickie już dziś albo jutro znajdzie się w tak trudnej i tragicznej sytuacji, że trzeba go z góry pozbawić wszelkich wątpliwości, przygotować na zewnętrzne ataki, i uzbroić w oręż najprostszych popularnych argumentów. Jego trudną ale wyższą pozycję i rolę w społeczeństwie należy mu wytłumaczyć i uzasadnić zupełnie wyraźnie i bez niedomówień, nie unikając wcale momentów dosadnych i drastycznych. Przyszłe ataki na duszę naszego dziecka należy uprzedzić, a tylko wtedy ma ono szansę się obronić. Jest znacznie lepiej, jeżeli dziecko zawczasu zostanie powiadomione o czekających je zarzutach i napaściach oraz zrozumie i przyswoi nasze argumenty, niżby — w wyniku obserwacji praktyk otoczenia, jego ataków, drwin i ironii — miało samo w swej młodziutkiej, niewykształconej i nieodpornej duszy stawiać sobie pełne niebezpiecznej i tragicznej wątpliwości pytanie: „Dlaczego ja mam być inne niż „wszyscy" naokoło mnie?"

Normalnym porządkiem rzeczy nasze dzieci stają się młodzieżą, zawierają przyjaźnie, nawiązują sympatie, po których przychodzą pierwsze, przeważnie silne, uczucia i związki. Jest to próg ich nowego samodzielnego życia. Czy nasza młodzież dobrze kieruje swymi krokami przy przechodzeniu tego progu? Czy czyni to ku chwale Boga i swego Kościoła? Czy podejmuje te zasadnicze decyzje z perspektywą rzeczywistego własnego szczęścia na swej nowej drodze życia? Wydaje mi się, że w większości wypadków niestety tak nie jest, że sprawę pozostawiamy nieomal całkowicie samej sobie, że „puszczamy ją na żywioł", a to jest przyczyną zarówno niezwykłych osobistych tragedii życiowych i załamań duchowych jak i stratą dla ewangelicyzmu.

Jest rzeczą oczywistą, że wobec naszego katolickiego otoczenia — te nici przyjaźni, sympatii i miłości zawiązują się przeważnie pomiędzy jednostkami wyznaniowo mieszanymi, to znaczy, że dziewczyna czy młodzieniec z naszego środowiska ma naturalne i łatwe warunki poznać i związać się z partnerem wyznania katolickiego. Wobec równie normalnej w tym okresie życia supremacji uczucia nad logiką i rozumem w sprawach dotyczących płci — stosunki między taką mieszaną parą układają się przeważnie na niekorzyść strony ewangelickiej: albo całkowita rezygnacja z własnych przekonań religijnych na rzecz agresywnego i nietolerancyjnego stanowiska absolutyzmu katolickiego, albo walka wewnętrzna, rujnująca sumienie, nerwy i szczęście, albo jakieś ogólnikowe, mgliste i niesprecyzowane porozumienia i kompromisy. Niestety te ugody, nie mające żadnej formy, choćby pseudoprawnej, kończą się przeważnie również albo pełnym ustępstwem strony ewangelickiej, albo tragedią całego życia.

Czy nasi doświadczeni wychowawcy duchowi przeciwdziałają w dostateczny i skuteczny sposób tej sytuacji? Czy my czynimy jakieś świadome wysiłki, mające na celu nie tylko dobro ewangelicyzmu ale zmierzające do zapobiegania tragediom duchowym i moralnym tej naszej młodzieży, która w poprzednim wieku lat 6—15 była nawet w pełni świadoma swej ewangelickiej sytuacji i rozumiała prawdę swej wiary? Problem jest o tyle tragiczniejszy, że właśnie takie wartościowe jednostki, z chwilą odczucia głębokiej sym-

patii do partnera katolickiego, szczególnie mocno cierpią i przeżywają najboleśniej rozterki duchowe, nie znajdując rady, pomocy lub przykładów.

Wiem, że nasze parafie starają się zespalać grona młodzieży, aby pogłębić jej świadomość religijną a jednocześnie ułatwić zadzieżgnięcie nici przyjaźni i przyszłych sympatii między przedstawicielami obu płci. Daj Boże, aby rezultaty tej akcji częściej wyrażały się błogosławieństwem małżeńskim przed naszymi ołtarzami. Uniknięcie bowiem małżeństwa mieszanego jest największym szczęściem, jakie ewangelika może spotkać na tym świecie; na pewno większym, niż wygranie miliona złotych. Tę łaskę Bożą można chyba tylko porównać z zachowaniem zdrowia przez całe życie. Taka jest natura omawianego problemu, że jednostki, którym dany jest ten dar, nie mają możliwości go właściwie ocenić, gdyż nie znają warunków współżycia w małżeństwie mieszanym. A może by tak „Jednota" ogłosiła ankietę na ten temat i wezwała osoby, żyjące w małżeństwach mieszanych, do nadesłania (nawet anonimowych) wypowiedzi, jak przebiega pożycie rodzinne (domowe, religijne, duchowe) w ich związkach? Sądzę, że uzyskany materiał byłby niezwykle ciekawy i pouczający, szczególnie dla młodego pokolenia. Chyba i zagranicą jest jakaś literatura na ten temat; warto by ją uprzystępnić naszej młodzieży.

Akcję duchowego i religijnego „uświadamiania przedmałżeńskiego" naszej młodzieży ewangelickiej należy wybitnie wzmóc. Dla chwały Boga, dla przyszłości Ewangelicyzmu oraz dla szczęścia naszego dorastającego pokolenia w jego przyszłym życiu — powinniśmy tę młodzież szczegółowo i głęboko oświecać o trudnościach i tragediach małżeństw mieszanych, o ich skutkach, polegających tak często na zdradzie wiary swych przodków, na przekreśleniu pięknych ideałów lub na całkowicie złamanym życiu.

Uważam jednocześnie, że tej naszej młodzieży, która wskutek siły uczucia, nieświadomości lub optymizmu, mimo wszystko decyduje się na małżeństwo mieszane, należy również praktycznie ułatwić sytuację przez przygotowanie i wskazanie konkretnych problemów i warunków, których wspólnego przemyślenia, ustalenia, przyrzeczenia i pisemnego (tak, pisemnego!) potwierdzenia pomiędzy sobą przez przyszłych współmałżonków — powinna wymagać strona ewangelicka od strony katolickiej. Porozumienie takie powinno obejmować co najmniej następujące aspekty współżycia: pełna życzliwa i lojalna tolerancja, wzajemny wspólny udział w życiu kościelnym, prawo i obowiązek szczerej, spokojnej i otwartej dyskusji oraz wymiany poglądów na tematy religijne, z góry ustalony kierunek religijnego wychowania przyszłych dzieci. Taka ugoda powinna być stałą i codzienną busolą trudnego życia. Tylko lojalne i ostrożne kierowanie się takim kompasem może zapewnić namiastkę jakże kruchego szczęścia, pod którą stale jednak tlić się będzie zarzewie tragedii.

Postuluję zatem przede wszystkim zmianę programu nauki religii i lekcji konfirmacji w kierunku znacznego zwiększenia tematyki uświadomienia religijnego, dostosowanego praktycznie do aktualnej naszej sytuacji i bieżącego układu stosunków społeczno-religijnych. Tematyka ta powinna obejmować co najmniej 50% nauczania. Natomiast świadome i zorganizowane profilaktyczne działanie powinno polegać na uprzystępnianiu młodzieży odpowiedniej literatury, urządzaniu spotkań, pogadanek, dyskusji, wycieczek, kolonii, obozów i wieczorków. Niech w ten sposób pozna i zżyje się nasza młodzież, niech powstaną w jej kręgu przyjaźnie i związki, które żyć będą we wspólnych ideałach, w harmonii duchowej, na pożytek Bogu, Kościołowi i sobie nawzajem. Należy świadomie sprzyjać kojarzeniu małżeństw ewangelickich. W oparciu o konkretne przykłady z życia, przy uwzględnieniu twardego i jednostronnego stanowiska Kościoła Katolickiego — należy uzmysłowić młodzieży, że przyszłe szczęście całego jej życia rzadko zależy od chwilowego uczuciowego uniesienia czy zaślepienia, że na tym odcinku często nie warto „żałować róż, gdy płoną lasy". Tym płonącym lasem jest przeważnie całe zmarnowane życie mieszanego małżeństwa, a róża... ma to do siebie, że czym piękniejsza, tym szybciej przekwita... zostają kolce i ból.

RODZIC

„Z technicznego punktu widzenia jesteśmy nadludźmi; moralnie natomiast nie jesteśmy nawet ludźmi — oto główny problem współczesności".

Aldous Huxley —

„Żadna małpa nie zabija, nie piecze i nie pożera swych współplemieńców. Takie rzeczy robi tylko człowiek. Byłoby to bardzo piękne, gdyby można uważać Prometeusza za pierwsze osiągnięcie powstającej ludzkości. Niepodobna jednakże zaprzeczyć, że poprzedził go czyn Kaina".

Prof. Weinert — antropolog

„Jeżeli ktoś ma do ciebie sympatię, to gotów jest nawet poważny twój błąd jakoś wytłumaczyć; jeżeli zaś ktoś cię nie lubi, to nawet twoje szlachetne intencje lub posunięcia gotów jest zinterpretować na twoją niekorzyść".

Z obserwacji

„Jednym z triumfów człowieka jest fakt, że może o czymś wiedzieć, a jednak w to nie wierzyć".

John Steinbeck —

„Jakże często drobne na pozór nieporozumienia wymagają wielkiej miłości, by je puścić w niepamięć. Gdzie tej miłości nie ma — obie strony sumują poszczególne pozycje i dochodzą do rezultatów każde na własną rękę".

Theodore Dreiser

PROBOSZCZ Z UDDARBO – AXELA HAMBRAEUS'A

Zetknęłam się już kiedyś z myślą, której sens brzmiał mniej więcej tak: można przeżyć całe życie nie przeżywszy prawdziwie jednego nawet dnia. Na pierwszy rzut oka zdanie to wydawać się może nieprawdziwe. Zastanawiając się jednak nad nim, im dłużej to czynimy, tym bardziej wyda nam się ono realne i nie pozbawione sensu. Czym bowiem jest życie, jeśli brak w nim celu? Cóż jest ono warte, jeśli nawet w przybliżeniu nie potrafimy sobie uzmysłowić jaką drogą idziemy i dokąd ona ma nas doprowadzić? Przypomnijmy sobie postać Roy'a Calverta z powieści Snowa — „Jasność i mrok". On też nie potrafił rozwiązać swych wewnętrznych konfliktów, nie umiał odnaleźć sensu i celu życia i w efekcie je przegrał. Myśli te nasunęły mi się po przeczytaniu książki „Proboszcz z Uddarbo" Axela Hambraeusa. Nasunęły się chyba na zasadzie prawa kontrastu, tak bardzo bowiem bohater tej książki, Gustaw Oemark, wiedział czego w życiu pragnie i jakiemu celowi służy.

Znał swoją drogę. Konsekwentnie więc, dzień po dniu, realizował to, co mu w życiu przeznaczono, do czego go powołano — służbę człowiekowi i Bogu. A że największym darem, który mu dano była wiara pełna, niezachwiana, prosta i czysta jak wiara dziecka, zdobywał nią tych wszystkich, z którymi go los zetknął. To była wiara człowieka, którego sam Bóg powołał do działania. I kiedy przed śmiercią modlił się, stojąc w oknie i patrząc w wygwieżdżone niebo, mówił: „Ty zabrałeś mnie od lasu i rzeki. Ty zabrałeś mnie od mego ojca, który umarł i od mojej nieżyjącej matki, i posłałeś mnie w świat. I Ty szedłeś przede mną, a ja potrzebowałem(?) jedynie iść za Tobą. I Ty trzymałeś mnie za rękę, a teraz widzę, że mi dajesz znak. Idę już, jeśli mnie wołasz."

I w tych słowach zamyka się w zasadzie całe życie proboszcza z Uddarbo. Nie znaczy to jednak, by Oemark był fanatykiem, ascetą, który przechodził mimo życie doczesne, nie zauważając go. Wręcz przeciwnie. Tak umieć cieszyć się ziemskim życiem i zawartym w nim pięknie, życzyć by sobie pragnął niejeden z nas. Niewypowiedzianą wprost, ale nieustannie przez proboszcza wyznawaną zasadą było — człowiekiem jestem i nic co ludzkie nie jest mi obce, ani słabości, ani chwile zwątpień, ani wielka radość i miłość. A wszystko to dał mi Ten, który jeśli jest ze mną, niech cały świat stanie przeciw mnie. Stąd wypływa ogromna siła Oemarka, stąd wiara w powodzenie powziętych poczynań, tu źródło miała sympatia ludzka zewsząd go otaczająca.

Całość książki psują, niestety, ostatnie jej rozdziały, w których działalność Oemarka jest tak idealnie doskonała, tak „udatna" i „akuratna", że aż nieprawdziwa. Być może winę za to ponosi zbyt skrótowe potraktowanie przez autora ostatnich lat życia proboszcza, nagromadzenie wielu spraw i faktów na zbyt szczupłej przestrzeni; i stąd to „przesłodzenie", którego — przyznać trzeba — w poważnej części książki udało się uniknąć.

I jeszcze jedna sprawa — być może drobiazg, ale taki, który uważnemu czytelnikowi na pewno od razu rzuca się w oczy. Otóż w małej górskiej wiosce położonej na pograniczu Szwecji i Norwegii, młoda prosta dziewczyna śpiewa „Kiedy ranne wstają zorze" (patrz str. 160). Czyż to aby prawdopodobne? Czyż nasza stara, rdzennie polska pieśń zawędrowała aż do dalekiego Vassbäken?

„Proboszcz z Uddarbo" to książka z pewnością pożyteczna i choć całość nie zawsze równa artystycznie, dobrze się stało, że wydawnictwo „Zwiastun" udostępniło ją nam w polskim przekładzie.

Barbara Słama

Flamandzki poeta **Ernest Claes:**

„Człowiek dzisiejszy nie może odnaleźć wewnętrznego spokoju, bo go nie szuka".

Włoski pisarz **Giovanni Guareschi:**

„Gdyby ludzie mówili jedynie o rzeczach, które choć trochę rozumieją, byłoby na świecie bardziej spokojnie".

Amerykański pisarz **Mark Twain:**

„Boże drogi, zmień ludzi złych na dobrych,
a ludzi dobrych na nieco przyzwoitszych".

Ś. P. KS. PREFEKT OTTON KRENZ

Kościół Ewangelicko - Augsburski, a także Ekumenia polska poniosła dotkliwą stratę. Po trzytygodniowej ciężkiej chorobie (wirusowe zapalenie płuc) tuż po północy, dnia 26 listopada Pan życia i śmierci odwołał do swego ojcowskiego domu, wiernego, pracowitego i skromnego sługę Swego Ks. Ottona KRENZA, od roku 1930 prefekta parafii ewangelicko-augsburskiej św. Trójcy. w Warszawie.

Urodził się 3 stycznia 1890 roku w Zduńskiej Woli, skończył z odznaczeniem w r. 1907 polską Szkołę Handlową Kupiectwa Łódzkiego. Wyjeżdża do Dorpatu na studia teologiczne, po ukończeniu których w r. 1903 zostaje ordynowany w kościele św. Trójcy w Łodzi na wikariusza tejże parafii. Podczas pierwszej wojny światowej przejściowo administruje parafią w Grodźcu i Zagórowie, a zaraz po wojnie, parafią w Nieszawie, gdzie pozostaje do r. 1930, kiedy powołany został na prefekta przy parafii św. Trójcy. Terenem jego owocnej pracy jest Szkółka Niedzielna, młodzież szkolna i dorosła. W każdą dziedzinę pracy wkłada całe serce. Rozwija szeroką działalność piśmienniczą, wydaje podręczniki do nauki religii, jest współtwórcą Agendy i Śpiewnika Kościelnego. Udziela się także w pracy ekumenicznej. Przez szereg lat jest przewodniczącym Komisji od Szkółek Niedzielnych. Szczegółowy życiorys zamieściła „Jednota" w styczniowym numerze 1960 r. z okazji 70-tej rocznicy urodzin.

Miesięcznik nasz ze śmiercią Ks. prefekta Krenza traci stałego współpracownika i przyjaciela. Cześć jego świetlanej pamięci!

Ś. P. GENERAŁ WIKTOR THOMMEÉ

Po dłuższej chorobie zmarł w Warszawie w szpitalu MON-u śp. Wiktor Thommeé, generał brygady w stanie spoczynku, przeżywszy lat 81. Urodzony w r. 1881 w Święcianach, w starej ewangelickiej rodzinie, poświęcił się karierze wojskowej. Brał udział w wojnie rosyjsko-japońskiej i I wojnie światowej. Po rewolucji wstępuje w szeregi wojsk polskich, otrzymując stanowisko szefa sztabu dywizji gen. Żeligowskiego. W r. 1923 otrzymuje stopień generała brygady. W r. 1939 jest dowódcą Grupy Operacyjnej „Piotrków" a następnie Grupy Operacyjnej „Łódź". Po stoczeniu wielu krwawych bitew udaje się generałowi przebić ze swoją armią do Modlina, gdzie zostaje dowódcą obrony tej twierdzy. Długi czas odpiera bohatersko natarcia wroga. Po wyczerpaniu wszystkich możliwości obrony kapituluje na ustalonych przez siebie warunkach, których wróg oczywiście nie dotrzymał.

Po latach niewoli nie chce pozostać zagranicą. Trawiony tęsknotą wraca do kraju. Osiada na Wybrzeżu, gdzie żywo interesuje się rozwojem kulturalnym i gospodarczym odrodzonej Ojczyzny. Pisze artykuły i wspomnienia z kampanii wrześniowej.

Wielki patriota, bohaterski żołnierz, odznaczony wielu orderami, był wspaniałym człowiekiem, prostolinijnym, obowiązkowym, wymagającym wiele od swoich podwładnych, ale najwięcej od siebie samego. Społeczeństwu ewangelickiemu był znany jako gorliwy syn swego Kościoła. W latach powojennych pełnił w Gdańsku wiele lat funkcje członka rady parafialnej tamtejszej polskiej parafii ewangelicko-augsburskiej, interesując się rozwojem życia kościelnego w całym kraju. Z Biblią nie rozstawał się nigdy. Ostatnie lata życia spędził wraz z swą Małżonką, wierną członkinią zboru warszawskiego, w stolicy.

Pogrzeb odbył się na wojskowym cmentarzu powązkowskim z wszelkimi honorami wojskowymi. Ze strony Kościoła żegnał zmarłego generała ks. Trenkler z Warszawy i ks. Dietz z Sopot.

KOMUNIKATY LOKALNE

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

Parafia Ewangel.-Augsburska
św. Trójcy, Pl. Małachowskiego 1

6.I.63. (Święto Epifanii)
godz. 11 — naboż. z Kom. św. — **Ks. R. Trenkler**

13.I.63. (II Niedz. po Epifanii)
godz. 11 — naboż. z Kom. św. — **Ks. R. Trenkler**

20.I.63 (II Niedz. po Epifanii)
godz. 11 — naboż. z Kom. św. — **Ks. bp Dr A. Wantuła**

27.I.63. (III Niedz. po Epifanii)
godz. 11 naboż. z Kom. św. — **Ks. R. Trenkler**

3.II.63 (VI Niedz. po Epifanii)
godz. 11 — naboż. z Kom. św. — **Ks. R. Trenkler**

10.II.63. (Niedz. Starozapustna)
godz. 11 — naboż. z Kom. św. — **Ks. R. Trenkler**

17.II.63 (Niedz. Mięsopustna)
godz. 11 — naboż. z Kom. św. — **Ks. R. Trenkler**

24.II.63. (Niedz. Zapustna)
godz. 11 — naboż. z Kom. św.— **Ks. Dr W. Niemczyk**

27.II.63. (Dzień Pokutny — Popielec)
godz. 18 — naboż. pokutne — **Ks. R. Trenkler**

Parafia Ewangel.-Reformowana
Al. Świerczewskiego 74

6.I.63. (Święto Epifanii)
godz. 11 — nabożeństwo — **Ks. J. Niewieczerzał**

13.I.63. (I Niedz. po Epifanii)
godz. 11 — nabożeństwo — **Ks. J. Niewieczerzał**

20.I.63. (II Niedz. po Epifanii)
godz. 11 — nabożeństwo — **Ks. J. Niewieczerzał**

27.I.63. (III Niedz. po Epifanii)
godz. 11 — nabożeństwo — **Ks. Wł. Paschalis**

3.II.63. (IV Niedz. po Epifanii)
godz. 11 — naboż. z Kom. św. — **Ks. J. Niewieczerzał**

10.II.62. (Niedz. Starozapustna)
godz. 11 — nabożeństwo — **Ks. J. Niewieczerzał**

17.II.63. (Niedz. Mięsopustna)
godz. 11 — nabożeństwo — **Ks. Z. Grzybek**

24.II.63. (Niedz. Zapustna)
godz. 11 — nabożeństwo — **Ks. Wł. Paschalis**

WYDAWCA: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL **REDAKCJA I ADMINISTRACJA:** Warszawa, ul. Świercztwskiego 76a, tel. 31-23-83. **REDAGUJE KOLEGIUM:** Redaktor Naczelny — Ks. Jan Niewieczerzał, Z-ca Red. Nacz. Ks. Ryszard Trenkler. **PRENUMERATA:** rocznie 48 zł, półrocznie 24 zł, kwartalnie 12 zł, numer pojedyńczy 4 zł. **Konto PKO** Warszawa — 153-7-905-005. Do nabycia również we wszystkich placówkach Kościoła.

Zakł. Graf. RSW „Prasa", W-wa, Smolna 12. Nakł. 2000. Obj. 3 ark. druk. Z. 23. L-8.